Nr. 12. Warszawa, dnia 7 (19) Marca 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

FILOZOFIA · NAUKI SPOŁECZNE · NAUKI PRZYRODNICZE · HISTORYA · JĘZYKOZNAWSTWO · SZTUKA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Spzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

Od Administracyi.

Szan. abonentów kwartalnych prosimy o odnowienie przedpłaty. Ponieważ wielu prenumeratorom, którzy przybyli w ciągu lutego, nie mogliśmy dostarczyć wyczerpanych numerów styczniowych Prawdy, *donosimy przeto, że numery te (1, 2, 3, 4, 5, 6) nabywamy od pragnących je sprzedać po cenie zwykłej (20 k.)*

ŻYCIE SPOŁECZNE.

MONOPOL I ŻYCIE.

Po pojawieniu się pierwszych zapowiedzi reformy monopolowej u nas, naszkicowaliśmy na tem miejscu przypuszczalny obraz zmiany warunków pracy bardzo licznych rzesz ludności. Warunki te istotnie zmieniły się, a ponieważ odczuły je nietylko setki, lecz nawet tysiące ludzi, więc reforma ekonomiczna zaważyła znacznie na interesach mieszkańców kraju naszego. Przedewszystkiem musiał się usunąć typowy szynkarz, pijawka ludności ubogiej i ciemnej i natychmiast przedzierzgnął się w inną postać liszki, posiadającej również zdolności wysysania soków z liści drzewa społecznego, do którego przylgnęła. Powstał mianowicie nowy typ lichwiarza, dotychczas niebywały u nas: ułatwiający nabywanie „monopolówki." Następnie zniknęły kelnerki w bardzo wielu zakładach, które na kilka miesięcy przed reformą, chcąc się wcisnąć do kategoryi „zakładów drugorzędnych" i „pierwszorzędnych," zamieniły usługę żeńską na męzką. Co się stało z tym licznym zastępem niewieścim? Poszedł w znacznej części do najpodrzędniejszej, najniższej kategoryi jadłodajni. Jakie ma znaczenie to zejście o parę szczebli niżej, zbyteczne byłoby opisywać.

Reforma monopolowa, odbierając pracę jednym, zmuszając do zmiany procederu innych, stworzyła jeszcze dwie dotąd u nas wcale nieznane kategorye pracowników: mianowicie — artelowców, sprowadzonych z głębi Rosyi dla kontroli wpływów z handlu i — zastęp kobiet w znacznej liczbie miejscowych, sprzedających wódkę w sklepach. Przed wprowadzeniem sprzedaży skarbowej mniemano, że posady te dadzą przywileje, przywiązane zazwyczaj do wszelkich dziedzin pracy, pod egidą rządową, tj. że pracownicy będą mieli awanse, emeryturę itd. Inaczej rzecz się przedstawia w praktyce. „Sklepowe," sprzedające trunki, nie korzystają z żadnych praw emerytalnych i mają mniej więcej takie same wątłe podstawy bytu, jak w przedsiębiorstwach prywatnych. W razie np. zwinięcia sklepu mogą otrzymać bardzo skromną bonifikacyę i skwitować z wszelkich roszczeń.

Ale nie sięgajmy do przyszłości, lecz weźmy teraźniejszość, której warunki, pomimo zaledwie dwumiesięcznej pracy, zaznaczyły się dość wyraźnie i dotkliwie. Pracownice otrzymują mieszkanie i pensyę, wystarczającą na skromne potrzeby osoby pojedynczej lub nawet od biedy kilku członków rodziny. Okazało się wszakże, iż przy wielu sklepach mieszkania są w okropnym stanie: zimne i wilgotne tak dalece, że wprost woda się leje. Gdyby w takim stanie były mieszkania, podlegające kontroli inspekcyi fabrycznej, pociągniętoby przedsiębiorców do odpowiedzialności. Tutaj — prawa i przywileje handlu są wyjątkowe, a więc i warunki pracy odznaczają się dość znamienną wyjątkowością. Być może, iż to wynikło z pośpiechu. Jak wiadomo, prawie do ostatniej chwili, przed wprowadzeniem reformy wszyscy pracownicy, przedsiębiorcy i aferzyści, mający do czynienia z trunkami, nie wiedzieli, jaki ich los czeka i czego się mają chwycić. Na posady „przy monopolu" podały się tysiące kandydatów, zgoła nie wiedząc o warunkach pracy i płacy. Sami gospodarze zmienionej postaci handlu mieli dużo trudności z ryczałtowem wprowadzeniem reform. Wynajmowano sklepy gdzie się dało i jak się dało. Dlatego też mieszkania dla pracownic uznano za rzecz podrzędną i dziś te dość liczne rzesze stały się ofiarą tego pośpiechu i ryczałtowości.

Ale nie na tem koniec. Pośpiech i ryczałtowość w całej machineryi handlowej spadł również na nie ciężkiem brzemieniem. Handel monopolowy odznacza się nadzwyczajną różnorodnością szkieł: sprowadzono gąsiory, butle, butelki, buteleczki, od największych do malutkich, niemal kieliszkowych. Każde takie naczynie napełnić, zakorkować, zapieczętować i obanderolować, to jest ogrom pracy dodatkowej, pochłaniającej dużo pieniędzy i czasu. Prócz tego powstaje nowa niedogodność techniczna: rozwożenie takiej różnorodności naczyń, dostarczanie ich do sklepów i przyjmowanie. Trudno w kilka miesięcy po reformie żądać w tej mierze

idealnej sprawności. Musi być chaos niedokładność, niedokładność i szkody. Ale któż na tem najbardziej cierpi? Oto znowu te nieszczęśliwe pracownice, sprzedające wódkę w sklepach. Składy główne dostarczają im znaczne transporty gorzałki i każą niezwłocznie kwitować. One zaś dopiero po przyjęciu i wydaniu pokwitowania mogą skontrolować, co przyjęły. Otóż często się zdarza, że przyjmują — butelki potłuczone i muszą z własnej kieszeni pokrywać te straty, często bardzo znaczne. Już czytaliśmy doniesienia o usunięciu pracownic za „deficyt," tymczasem deficyt ten nie jest bynajmniej winą sklepowych, nie wynika z ich nierzetelności lub lekkomyślności, lecz z tego chaosu całej machineryi. W rezultacie znaczna część pensyi pracownic pójdzie na pokrycie strat, wynikłych nie z ich winy, a gdy te straty dochodzą do takich rozmiarów, że pensya nie wystarcza — pracownice tracą posady. Gdy dodamy do tego nadzwyczajną uciążliwość zajęcia, bezpośrednią styczność z tłumem żądnym wódki, często już pijanym i brutalnym, wszelkie podejścia i nadużycia, jak np. przecinanie dna gąsiorów, wypuszczanie wódki i przynoszenie pustych naczyń z żądaniem pełnych — to będziemy mieli ogólny, wcale nieponętny obraz warunków pracy kobiet w nowym zawodzie. Niepewność bytu, okropny stan mieszkań, w wielu razach praca darma, gdyż pensya idzie na pokrycie niedoborów, brutalne traktowanie przez klientelę — oto wszystko, co daje prawo twierdzić, że praca kobiet w handlu wódczanym należy do zawodów bardzo uciążliwych, przykrych i narażających na srogą poniewierkę.

Przykre strony nowej postaci handlu wódczanego dają się we znaki nietylko rzeszom pracowników. Wytwórcy okowity również się uskarżają na niezmiernie uciążliwe warunki sprzedaży, ograniczania i — w rezultacie — zachwiane podstawy produkcyi. Czy to się wszystko zmieni z czasem? Zapewne — nie można przypuszczać, ażeby jakaś reforma, zmieniająca zasadniczo organizacyę handlu, wyrywająca go zupełnie z rąk pewnej grupy ludzi, wreszcie znacznie uzależniająca wytwórców — nie udoskonaliła się z czasem i nie przystosowała w pewnej mierze do istotnych potrzeb życia. Nie można przypuszczać, ażeby fiskalizm, jako cel realny i trzeźwość ludności — jako zadanie idealne — miały przykroić życie z jego wszystkiemi zjawiskami do swojej modły. Należą mu się jakieś ustępstwa, które z czasem wytworzą sobie naturalne łożyska. Zanim to wszystko nastąpi, zanim nowa postać działalności ekonomicznej odlana w formę niezależną od życia, wsiąknie zupełnie w to życie, a ono znowu nagnie się do tej reformy — dużo czasu upłynie, dużo goryczy i zawodów ludzie doznają, dużo strat poniosą.

Będzie to nauka kosztowna, bo poglądowa. Ale i w takim systemie nauki powinna być pewna metoda. Otóż przedewszystkiem należałoby usunąć nieład, nierzetelność i chaos w handlu. Należałoby wejrzeć w warunki pracy i życia tych kobiet, którym dano nowe posady, wreszcie ocenić dokładnie dotychczasowe warunki i podstawy poważnej u nas gałęzi produkcyi okowity i jej handlu. Z nią bowiem związane są losy i byt licznych rzesz ludności.

LISTY PETERSBURSKIE.

Koleje na usługach militaryzmu. — Komunikacya niedostateczna jako źródło klęski pod Sewastopolem i strat w wojnie tureckiej. — Przyszłe wojny i armie milionowe. — Prąd wsteczny. — Rola szlachty w ziemstwach. — Obawy i podejrzenia *Grażdanina*.

Przed kilku tygodniami w Akademii wojskowej generał von Wendrych wygłosił trzy wielce ciekawe odczyty o kolejach żelaznych. W r. p. prelegent był wysłany za granicę w celu obeznania się z całą machineryą i sprawnością komunikacyi zagranicznej. Chodziło tu nietylko o stronę techniczną i ekonomiczną, lecz także o cały system kontroli. Delegat badania te miał przeprowadzić nie w celach prostej ciekawości, lecz z myślą zastosowania najlepszych urządzeń w obrębie państwa rosyjskiego, a zwłaszcza możliwie najzupełniejszego zużytkowania taboru ruchomego tudzież najracyonalniejszego wyzyskania ruchu. „Stopień powodzenia eksploatacyi kolei żelaznych — mówi prelegent — jest barometrem, który zawczasu pozwala przewidzieć stan pogody na widnokręgu politycznym." Sprawność kolejowa w znaczeniu strategicznem nabrała dziś doniosłego znaczenia, a doświadczenie uczy, że w wypadkach krytycznych opieszałość i niedogodność komunikacyjna była jednym z głównych warunków, decydujących o przesileniach w czasie wojny i następnie o rezultatach, dotkliwie odczuwanych przez długie lata.

Niezaradność i niedbalstwo w tej mierze, jak zaznaczył prelegent, Rosya odczuła już niejednokrotnie. Brak udogodnień komunikacyjnych był główną przyczyną porażki sewastopolskiej. Następnie w r. 1877 podczas wojny tureckiej spóźniona budowa kolei Bondersko-Gałackiej, niesprawność kolei rumuńskich, spóźnienie mostów pływających na Dunaju, utrudniona przeprawa w Bułgaryi — to przyczyna strat pod Plewną i męczarni na Szypce. „Żołnierze cierpieli po bohatersku i święcie, ale *bezcelowo* zamarzali na wyżynach śnieżnych, prawie bez strawy i ciepłego ubrania właśnie dzięki filozoficznemu traktowaniu zadań komunikacyi kolejowej, nawet wtedy, gdy armija rosyjska zimowała już w Besarabii. Turcy oczekiwali za Dunajem, od stóp do głowy uzbrojeni w karabiny i armaty angielskie i kierowani przez angielskich instruktorów-ochotników. Kolej Bendersko-Gałacka, której budowę podczas wojny powierzono nie wiadomo dlaczego p. Polakowowi (zamiast pospiesznego budowania kosztem skarbu), była gotowa zaledwie w początku grudnia 1877 r., gdy Cesarz Aleksander II, wracając po zdobyciu Plewny przez Rumunię, własnym pociągiem

---

44)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Teraz przechodzimy do wzgardzonych nawet w świecie wzgardzonych. Do ludzi, którymi pogardza nawet katorga.

Tutaj najpierw widzimy *okruchozbieraczów* i *kawalkarzów.* Katorga nie lubi tych ze swojej gromady, którzy „wychodzą na ludzi," stają się dozorcami, kucharzami lub piekarzami. I ma racyę. Sposobami uczciwymi nie można zdobyć tego uprzywilejowanego stanowiska. Tylko kosztem wyzucia się z wszelkich pierwiastków człowieczeństwa; za pomocą pochlebstwa, czołgania się przed władzą, łapówek, oszczerstwa, zdrady i donosicielstwa można na Sachalinie dotrzeć do stanowiska dozorcy, tj. uwolnić się od robót i stąd się pewnego stopnia władcą katorgi. Dawniej w niektórych więzieniach nawet bili aresztantów nie oprawcy, lecz dozorcy („starostowie"). Idąc tedy na dozorcę, aresztant jednocześnie musiał być przygotowany i do czynności oprawcy. Tylko starając się, na żądanie inspektora, możliwie o największy zysk w wadze chleba upieczonego w stosunku do mąki użytej, tj. karmiąc więźniów chlebem na pół surowym, piekarz może się utrzymać na swojem stanowisku, które pozwala mu ciągnąć pewne dochody. Tych ludzi, obcinających więźniom ostatni kęs i zabierających im okruszyny, katorga obdarzyła nazwą pogardliwą: „okruchozbieraczów" albo „kawalkarzów."

— Także do „władzy" się dostał!

— Jesteś aresztantem, więc i bądź nim!

Katorga nie lubi tych, którzy usiłują „wywyższyć się," ale pogardza i tymi, którzy się poniżają. Znamy już typ *podduwały.* Taką nazwę nosi aresztant, który się najmuje na lokaja do innego. Oprócz spełniania usług czysto lokajskich, musi on jeszcze bronić swego gospodarza, nadstawiać własne żebra i bić pierwszego lepszego na rozkaz gospodarza. Podduwały „ojców" np. muszą bić dłużników nierzetelnych. A jeżeli dłużnik jest silniejszy, to posługacz musi znieść i porażkę w utarczce nierównej. Naturalnie, nawet i katorga nie może inaczej, jak z pogardą traktować ludzi, którzy sprzedają swoje pięście i boki.

Na następnym, niższym szczeblu upadku ludzkiego stoi typ bardzo pospolity — *dudarz* (*wołynszczyk*).

Dudarze — są to ludzie, których potrzebą życia jest ciągłe wszczynanie waśni. Robiąc plotki i rzucając potwarze, wzniecają kłótnie między aresztantami mniej lub więcej dostatnimi, ażeby się pożywić czemkolwiek od tych, po których stronie niby stoją. Od dudarzy roją się wszystkie więzienia. Śród katorżników, wiecznie gniewnych, strasznie podejrzliwych, niedowierzających sobie nawzajem, głodnych i zdenerwowanych, śród katorżników, którzy dla sześćdziesięciu kopiejek zarzynają człowieka; śród tych, między którymi, mając pieniądze, można nająć nietylko do obicia, ale i do zabicia człowieka, dudarze często grają straszną rolę. Nieraz „bez żadnych powodów" wynikają straszne rzeczy. Zamordowawszy aresztanta lub stojąc nad towarzyszem, leżącym „z brzuchem rozprutym," katorżnicy często sami ze zdumienia zapytują siebie:

— Z jakiegoż powodu to się stało? Z czego wynikło? Od czego się zaczęło?

Przyczyną wszystkich przyczyn są dudarze, którzy wznieciii waśnie, w nadziei zysków jakichkolwiek. Nieśmiały, zahukany aresztant musi się przyjaźnić ze starym, doświadczonym dudarzem, bo w razie przeciwnym ten go wpędzi w taką kabałę, że i kości nie będzie można pozbierać.

Jeszcze na niższym szczeblu stoją *gardłacze.* Ten typ czytelnicy już trochę znają. Przy kartach, w kłótni, na zebraniach aresztanckich gotowi są trzymać stronę tego, który więcej da; „zasypać" niewinnego, bronić napastnika — mogą z lekkiem sumieniem. Takich ludzi katorga

otworzył komunikacyę.“ Spóźnione połączenie Bender z Galacem na przestrzeni kilkudziesięciu wiorst, pochłonęło olbrzymie sumy. Musiano przeładowywać wojsko, oręż, materyały, prowiant, ażeby znowu ładować na koleje rumuńskie i przeładowywać na brzegach Dunaju, a stamtąd transportować siłą pociągową zwierzęcą. „Koleje żelazne — mówi p. Wendrych — mają obecnie tak olbrzymi wpływ na sposób prowadzenia wojny, że trzeba je traktować jako *nową postać oręża*. Tak samo jak przy doskonaleniu broni trzeba „przeobrażać“ wojsko, również należy baczyć na to, ażeby koleje żelazne nie były opieszałe w rozwoju swych udoskonaleń.“ To są arterye armii, dostarczające jej sił i środków odżywczych. Wojsko najbardziej ożywione męztwem, bez dogodnej komunikacyi kolejowej, to samo, co geniusz złożony chorobą, lub bohater ubezwładniony. Otóż prelegent radzi troszczyć się o rozwój sprawności kolejowych w tej mierze, nawet podczas najzupełniejszej ciszy na widnokręgu politycznym. Inne mocarstwa zagraniczne poszły pod tym względem bardzo daleko, gdy Rosya dotychczas jeszcze lekceważy tak doniosłą sprawę.

Sprawność kolejowa jest niezbędną nietylko dla celów wojskowych, lecz i dla podniesienia dobrobytu ludności. Należy postarać się o to, ażeby ziarno nie gniło, unieruchomione przez czas długi na różnych stacyach, ażeby dostawa terminowa była rzeczywiście terminową, gdyż na nieakuratności w tych wypadkach cierpią miliony ludzi. To wszystko właśnie miał na względzie p. Wendrych w powierzonej sobie misyi zbadania warunków zagranicznych, a więc można wnosić, że poglądy jego, wygłoszone w odczytach, są wstępem do ważnych reform i udoskonaleń w praktyce.

W związku z zadaniami strategicznemi kolei żelaznych jest poruszona przez *St. Peterb. Wied.* kwestya: „Czy wystąpią armie milionowe w przyszłej wojnie europejskiej?“ Powodem artykułu były poglądy dwu pisarzów w zakresie wojskowym: pp. Petrowa i Michniewicza. Pierwszy przyszedł do wniosku, że przewidywane przez wielu ciągłe zwiększanie przyszłych armij aż do kilku milionów ludzi z każdej strony, na jednym teatrze wojny jest niemożliwością fizyczną. Pozbawiłoby to armie swobody poruszeń i skrępowało działalność wodza, byłoby zgubnem pod względem ekonomicznym, a bardziej jeszcze — politycznym. Wreszcie przyczyniłoby się do osłabienia sztuki wojennej.

Gdyby to wszystko było prawdą,— mówi na to p. Michniewicz — to należałoby się dziwić błędnym dążeniom państwa do ciągłego pomnażania swoich zastępów zbrojnych, o ile tylko środki wystarczają. Według obliczeń p. Petrowa, gdyby na przestrzeni frontu dwieście wiorst długiego i sto szerokiego zebrało się po milionie wojsk z każdej strony wojującej, to żaden kraj nie mógłby zgromadzić na miejsce takiej masy furażu, jaki okazałby się koniecznym dla wyżywienia 850,000 koni, wchodzących w skład dwu armij. Po dwu, trzech dniach należałoby furaż dowozić z tyłów, na co trzeba byłoby zużywać w ciągu doby czterdzieści pociągów, po pięćdziesiąt wagonów każdy. Według sprostowań p. Michniewicza, organizacya współczesnej armii milionowej nie wymaga 425,000, lecz tylko 250,000 koni, na których wyżywienie trzeba, licząc po $^3/_4$ puda na sztukę (owies, siano i słoma) 188,500 pudów furażu. W wagonie zmieści się siana prasowanego 350—400 pudów, a w razie przewozu na platformach pod brezentami, nawet około 750 pudów. W ten sposób, przyjmując średnio ładunek wagonu na 600 pudów i 35 wagonów w pociągu, na dowóz furażu dla 250,000 koni potrzeba będzie nie 40, lecz 10 pociągów na dobę.

Jeżeli koniecznym będzie dowóz prowiantu i dla ludzi (po 5 funtów w ciągu doby na jednego), to na milion głów potrzeba będzie 125,000 pudów, czyli sześć pociągów na dobę. Skoro zatem dowóz furażu i prowiantu dla armii milionowej wymagać będzie wogóle piętnastu pociągów na dobę, to jeżeli armia złączona będzie na tyłach chociaż z jedną odpowiednio przygotowaną koleją żelazną — wyżywienie jej może być zabezpieczone bez wielkich trudów. Obliczenia te są właśnie jedną z głównych przyczyn tworzenia armij milionowych, zapewniających strategii olbrzymie środki do osiągnięcia celów zamierzonych.

Gdy nareszcie sprawa wyżywienia ogromnych mas wojskowych będzie załatwioną, to ich istnienie nie wywoła żadnych utrudnień dla wodza i nie zniży samodzielności jego działań. Przeciwnie — mając wszędzie gotowe masy olbrzymie, można będzie stawiać śmielsze cele, byleby się znalazło dosyć wykonawców odpowiednich.

Niegdyś, np. za czasów Fryderyka, cała armia szła i działała łącznie na polach bitew w oczach wodza, prawie pod jego wyłączną komendą. Późniejsze udoskonalenia w taktyce skryły wojska po za przedmioty miejscowe, ordynki wojskowe rozczłonkowano na długość i głębokość frontu, bój rozpadł się na szereg bojów oddzielnych, którymi kierowali dowódcy odpowiedzialni. Zadaniem wodza naczelnego było łączyć te usiłowania pojedyncze w jedną całość zgodną i kończyć je naporem ostatecznym oraz umiejętnem wyzyskaniem korzyści osiągniętych. Wobec szerokiego zastosowania sztuki polowej wojskowo-inżenierskiej w związku z bronią szybko i daleko-nośną, oraz wielkiemi masami kolumn przednich, boje na podobieństwo amerykańskich (1861—65) ciągnąć się będą najdłużej dwa, trzy dni. Mając tedy dobrze zorganizowaną na usługi wojskowe sieć kolei żelaznych, można zdążyć z dowozem znacznych ilości wojsk (rezerwy strategiczne) na dane punkty frontu strategicznego.

Wyobraźmy sobie, do jakiego stopnia doskonałości dojdzie sprawność przenośna, do przerzucania szybkiego wielkich mas ludzi i żywności, gdy będą wprowadzone dźwignie elektryczne, które dadzą możność puszczania po sto par pociągów towarowych na dobę, z szybkością 90 wiorst i osobych z szybkością 150 wiorst na godzinę. Dźwignie elektryczne prawdopodobnie wprowadzą najpierw Niemcy.

Taką rolę może w niebardzo dalekiej przyszłości odegra udoskonalona komunikacya. W państwach zorganizowanych militarnie i przejętych przeważnie duchem militarnym, postęp w tej mierze pójdzie szybko, wysili się w jednym kierunku i wytworzy potworność cywilizacyjną. Z czasem ten nadzwyczajny i ciągły wysiłek pomysłowości i środków materyalnych może stanie się hamulcem morderstwa zbiorowego, dyplomacya bardziej się wyczuli i wysubtelni, bo strach

---

nienawidzi; ale oni mają często wpływ na zebraniach, bo jest ich dużo; działają zawsze gromadnie. „Gardłacz“ — jest to nazwa najbardziej ubliżająca i „chrap,“ gdy go tem mianem obdarzą, rzuci się do [illegible]

— Jam „chrap.“ „Chrapać“ na zebraniach lubię — to prawda. Ale żebym się najmował do kogoś!..

I słowa przy sposobności mogą się skończyć pchnięciem noża w bok, rzuceniem kamienia lub pętli na szyję z za węgła. To oczywiście nie przeszkadza „chrapom“ być przeważnie „gardłaczami,“ ale oni nie lubią, gdy się im to mówi. Gardłacze mają jeszcze dwie nazwy. Jedna dowcipna: „cudza kolacya,“ druga historyczna: „kupno sinielnikowskie.“ Ta ostatnia pochodzi jeszcze z tych czasów, gdy przy p. Sinielnikowie za pojmanie włóczęgi w Syberyi wschodniej płacono zwykle 3 ruble. Od tego czasu człowiek, który jest gotów sprzedać bliźniego, nosi nazwę: „kupno sinielnikowskie“ — najbardziej obrażającą. Jeśli usłyszymy na katordze obrzucanie się połajankami:

— Milcz, cudza kolacyo!

— Milcz, kupno sinielnikowskie!

To znaczy, że na przedostatnim szczeblu upadku ludzie ci gotowi są rzucić się na siebie z nożami.

Wreszcie na samem dnie ustoin katorgi jest *cham*. Niżej już stać nie można. „Cham“ właściwie określa w języku aresztanckim człowieka, który lubi wszystko, co cudze. „Zachamić“ (*zachamniczat'*)—znaczy wziąć i nie oddać. „Chamem“ nazywa się człowiek, który już nie posiada w sobie nawet strzępków tego, co się nazywa sumieniem, a co pozostało jeszcze u gardłacza, podduwały i dudarza. Ci popełniają bezeceństwa śród aresztantów. „Cham“ zaś — to zdrajca. Za porcyę chleba, za małą ulgę zdradzi przygotowaną ucieczkę, wskaże miejsce, gdzie się skryli zbiegowie. Ten typ jest faworyzowany przez inspektorów, bo tylko za pośrednictwem tych ludzi można wiedzieć, co się dzieje w więzieniu. „Cham“ — to straszna nazwa. Kto ją dostał, ten jest skazany jeżeli nie zawsze na śmierć, to wiecznie na takie życie, które jest gorsze od śmierci. Dość rewizyi, a nawet nagłej wizyty inspektora, ażeby podejrzliwa katorga natychmiast upatrzyła w tem „coś niedobrego“ i zaczęła śmiertelne razy zadawać tym, których ma za chamów. Dość, żeby najmarniejszy żygan powiedział: „Nasz cham zdaje się rzuca oszczerstwa przed władzą“ — ażeby temu „chamowi“ zaczęto łamać żebra.

Nie koniec na tem. Niech ktoś mimochodem, tak sobie „z próżniactwa“ uderzy chama, a wnet cała turma rzuci się na wroga.

— Bije — a więc zapewne nie na próżno.

I oto wszyscy więźniowie „nakrywają ciemną,“ obmotują kapotami i biją, biją, aż wyciągną z pod tych kapot na pół żywego.

Zbrodniarze i zbrodnia.

— Czy czują „oni“ skruchę?

Wszyscy ludzie, pozostający w bliskich stosunkach z katorgą, zapytywani przeze mnie o to, odpowiadali — jedni z gniewem, inni z żalem — zawsze to samo:

— Nie!

— Przez cały czas mego pobytu tutaj — mówił mi zarządzający wydziałem lekarskim dr. Poddubski — w masie zbrodniarzy — a widziałem ich tysiące — spotkałem jednego, który rzeczywiście czuł skruchę i pragnął cierpieć za grzech popełniony. Ale i ten, kto wie, czy był istotnie przestępcą!

Był to starzec, zesłany za zaburzenia podczas cholery.

Doktór po oględzinach zapisał go do kategoryi „bezsilnych.“

— Poczekaj, ojcze — rzekł mu na to starzec — nie czyń tego! Bo kiedyż swój grzech odrobię?

— A jakiż to twój grzech?

— Doktora kamieniami zabiliśmy. I ja kamień rzuciłem.

— Czyś trafił?

— Tego nie wiem; nie widziałem, gdzie padł kamień. Ale jednak rzuciłem.

Powiedzieć atoli, że wogóle katorżnicy skruchy nie czują, byłoby bardzo ryzykownem.

Oni tylko nie ujawniają jej.

Katorżnik — jak wielu ludzi cierpią-

wobec wielogłowych, szybkonogich potworów olbrzymich—armij milionowych, zahamuje wszelkie popędy do zapasów krwawych. Ale to ciągłe pogotowie militarne i jego nieustanne doskonalenie pochłaniać będzie coraz większe sumy, przerastające w budżetach rocznych koszt wojen dawniejszych, dłuższych i najuciążliwszych. Tak będzie wyglądała pogoda na widnokręgu politycznym.

Dążność do wskrzeszenia szlachetczyzny w całej pełni dawniejszej coraz silniej się zaznacza. Jest to zwrot tak znamienny, że nie można go ani lekceważyć, ani pomijać milczeniem. Świadczy on bowiem o istnieniu w społeczeństwie prądu wstecznego, który usiłuje zawrócić fale życia, idące naprzód z siłą żywiołową. Już niegdyś na tem miejscu zaznaczyliśmy, że wyodrębnienie jednego stanu i nadawanie mu osobnych przywilejów jest poprostu wykroczeniem przeciwko logice życia. Pomimo to pewna część społeczeństwa nie przestaje pracować w tej mierze i wychodzi głównie z tego stanowiska, że przodująca niegdyś warstwa upadła ekonomicznie, że zatem trzeba ją dziś podnieść materyalnie za pomocą jakichś szczególnych łask i darowizn. Według tych żądań, skarb powinien umorzyć pożyczki, zaciągnięte w Banku szlacheckim oraz nadać szlachcie szczególne przywileje, ułatwiające naukę bezpłatną i zdobywanie różnych urzędów. Żądania te doszły już do takiego absurdu, że nawet światlejsi przedstawiciele szlachty zaczynają protestować przeciwko temu i bronić swojej godności.

Takie właśnie stanowisko zajął i p. Jewreinow w książce świeżo wydanej p. t. „Przeszłość i dzisiejsze znaczenie szlachty.“ „W obecnym ustroju państwowym i społecznym — mówi autor — niepodobna wynaleźć dla szlachty nowych przywilejów osobistych, czy też korporacyjnych. Każdy taki przywilej byłby ograniczeniem praw innych stanów i nie przyniósłby szlachcie żadnego pożytku.“ Natomiast autor widzi szerokie pole działalności dla szlachty w sferze ziemstwa wszechstronnego: „Nie mówiąc już o tem, że sprawy miejscowe są nierównie bogatsze w treść, niż stanowo-korporacyjne szlacheckie — sfera działalności zarządów ziemskich jest bardzo rozległą i wielce podatną do rozwoju i spotęgowania znaczenia szlachty w składzie owych urzędów. W tym właśnie kierunku, lecz nie w ruinach dawnego ustroju stanowego trzeba szukać dróg, na których, wobec zmienionych warunków, szlachta może łatwo znaleźć pole pracy pożytecznej.“

P. Jewreinow uwydatnia zwrot w usposobieniu władz państwowych względem ziemstwa. Zdaniem jego, okres nieufności, który się ujawnił w ograniczeniu praw instytucyj ziemskich 1870 r., dobiega obecnie kresu. „Wszystko każe mniemać, że dziś władze dostatecznie przekonały się o pożytecznej i owocnej pracy ziemstw pod wpływem stanu szlacheckiego. We wszystkich sferach utrwala się przeświadczenie, że ziemstwo samorządne może najskuteczniej zadośćuczynić potrzebom miejscowym, sprawom oświaty ludu itd.“

Książka p. Jewreinowa, jak się należało spodziewać, wywołała wielką burzę śród zażartych przeciwników ziemstw. „Pomimowoli nasuwa się myśl — woła stetryczały i oślepły staruszek — *Grażdanin* — że ci panowie pod przyzwoitym pozorem pociągnięcia do pracy w ziemstwie, pragną pogrzebać stan szlachecki oddawszy go w ręce towarzystwa *des pompes funèbres.*“

Paweł Krzyżanowski.

KRONIKA KRAKOWSKA.

Influenza. — Ksiądz Stojałowski. — Jubileusz papieski. — Kursy Baranieckiego. — Odczyt — Broszura prof. Baudouina de Courtenay. — Drakoński wyrok. — Przymierze z Niemcami i śpiew p. Smolki.

Byłaby to wielka krzywda dla Krakowa, gdyby długie milczenie moje wzięto za objaw zastoju lub ospałości tutejszego życia społecznego. Bije ono żywem tętnem i niezliczone fakty godne zanotowania nastręczyłyby się pod pióro — gdyby nie influenza, która będąc, jak wiadomo, uprzywilejowaną chorobą „inteligentów,“ nie mogła pominąć korespondenta *Prawdy* — i tak wspaniałą zrobiła sobie z niego pożywkę, że przez długie tygodnie ani myślą, ani piórem władać nie był w stanie.

Dzisiaj zbieram wiązankę z opowiadań litościwych Samarytanów, którzy odwiedzali mnie w chorobie — i przesyłam ją z obietnicą, że następne kroniki będą więcej zajmujące, więcej dowcipne, a nadewszystko mniej spóźnione. Teraz bowiem muszę się cofnąć aż do owej doby, kiedy to na wzburzone fale namiętności polityczno-narodowościowych wylano jak oliwę przymierze słowiańskie. Oliwa rozpłynęła się po morzu — błyskała jeszcze jakiś czas w słońcu złudzenia blaskami barw tęczowych i gdzieś się podziała. Wzburzone bałwany ułożyły się do snu i zapanowała cisza. Raz jeszcze zakotłowało, kiedy ksiądz Stojałowski, przeprosiwszy grzecznie papę i mamę, został wypuszczony z kącika i wybrany na posła do Rady państwa, której niema i kto wie kiedy będzie. Potem nastał wiek złoty rozkwitu sztuki, literatury i wiedzy.

A więc młodokonserwatyści założyli organ, mający na celu przywrócenie ładu społecznego za pomocą *Ruchu*. Wprawdzie raki wyobrażają sobie także, że się ruszają, chociaż oczom zwykłego śmiertelnika wydaje się, że one idą wstecz; czerwonym jednakże rakom, a więc sparzonym w ukropie, uda się czasem wcale zgrabnie postąpić naprzód. Kilka takich ruchów, a raczej odruchów, zdradzających, że od gorąca nawet zimne stworzenia rozgrzewają się, zauważyliśmy w *Ruchu społecznym*; to też życzymy mu powodzenia, na jakie zasługuje.

Że działalność staro i nowokonserwatystów wydaje dodatnie owoce, które jak najobfitszy plon rokują, mieliśmy świeżo dowód w zapale, z jakim całe społeczeństwo czciło jubileusz papieża. Najprzód miasto urządziło iluminacyę, która potokami światła zalała najciemniejsze zaułki, najbrudniejsze dzielnice; nie rozświetliła tylko serc i umysłów, zaciemnionych fanatyzmem, egoizmem i obłudą. Potem tłumy rozentuzyazmowane zgromadziły się na ranty, które na cześć papieża urządzał tutejszy — uniwersytet. Dowiedzieliśmy się mnóstwa szczegółów o życiu prywatnem i publicznem Leona XIII, słyszeliśmy jego wiersze i aforyzmy.

Lękam się, czy nie będzie profanacyą bezpośrednio po tej uroczystości wspom-

---

cych — przedewszystkiem jest hardy. Wszelkie wyrażenie skruchy żalu za winy, uważałby za słabość, której nie mógłby potem darować sobie, a której, co najważniejsza, nigdy nie przebaczyłaby mu katorga.

Czyż nie liczymy się z poglądami i sądem tego społeczeństwa, z którem musimy przestawać?

Młodzieniec Negel *) — który popełnił ohydną zbrodnię, zabójca-zwierzę, którego mi przedstawiono jako największego łotra w całej katordze — ten zabójca płakał, płakał jak dziecko, opowiadając mi sam na sam, co go pchnęło do zbrodni. I musiałem pocieszać go jak malca, podawać mu wodę, gładzić po głowie.

Pamiętam zdumioną twarz jednego z urzędników, który przypadkowo wszedł na tę scenę.

— Coś pan zrobił naszemu Neglowi? — zapytał mię potem zdziwiony.

Warto było popatrzeć na twarz Negla przez te kilka sekund, które spędził u mnie urzędnik. Jak on połykał łzy, jak się wysilał, ażeby zapanować nad łkaniem.

— Niech pan nikomu nie mówi „o tem“! — prosił mię na pożegnanie — bo w katordze jak się dowiedzą, śmiać się będą...

Oto, gdzie tkwi nieraz przyczyna tego „chłodnego, spokojnego traktowania“ zbrodni.

Nie zawsze brak ruchów tragicznych świadczy o braku tragedyi.

Ciemna jest dusza zbrodniarza i niełatwo dojrzeć, co się tam kryje na dnie.

W mieszkaniu pewnego inteligentnego zabójcy zwrócił moją uwagę duży obraz, jego pendzla, wiszący w miejscu najwidoczniejszem.

Był to ponury pejzaż północny. Posępne, obwisłe jodły. Pośrodku trzy kamienie, położone jeden na drugim.

— Co to za posępny widok? — zapytałem.

— To pejzaż, który mi się wpił w pamięć! W tem miejscu zdarzył się tragiczny wypadek.

Był to właśnie widok tego miejsca, w którem twórca obrazu pospołu z towarzyszem, zamordował i poćwiertował swoją ofiarę.

Co to? Rysunek, czy też chorobliwa chęć nieustannego jątrzenia bolesnej rany w duszy, niedopuszczenia do zabliźnienia?

Czy to rysunek, czy kara, stworzona przez zbrodniarza?

Nie wiem, jak tam skrucha — ale strach, rozpacz, wiecznie mieszkają w duszy zbrodniarzy.

Trudno im wierzyć, ażeby traktowali zbrodnie obojętnie.

Wasyl Wasyljew *), który podczas ucieczki zabił swego towarzysza i żywił się jego ciałem, słynie jako najspokojniejszy i najobojętniejszy.

— Proszę tylko posłuchać, jak on opowiadał Jak wycinał kawałki mięsa i gotował z nich zupę z młodą pokrzywką, którą kładł „dla smaku.“

— Gdybym tylko morza się nie bał! — wołał rozpaczliwie, opowiadając mi o „pokrzywce“ i zupie z mięsa ludzkiego — gdybym morza się nie bał, uciekłbym na skraj świata! Morza się boję... uciekłbym, żeby nikt mnie nie widział! Uciekłbym od siebie!

I taki strach wobec spełnionej zbrodni dźwięczał w głosie tego okropnego człowieka.

Nie darmo po tym czynie przez pewien czas chodził obłąkany.

Proszę nie wierzyć „wesołym“ opowiadaniom o zbrodni.

Jest to tylko wynik nieumiejętnego wypytywania.

Naturalnie, jeśli niespodzianie zaczepimy:

— A no, bratku, opowiedz, jak zabiłeś?

Będzie wówczas opowiadał z przechwałkami i ubarwieniem.

(C. d. n.).

*) Więzienie aleksandrowskie.

*) Fakt tego ludożerstwa był wydrukowany przez dr. N. Łobasa w czasopiśmie *Wracz* (r. 1895, nr. 37).

nieć o wieczorze na cześć Orzeszkowej. Niewiasty krakowskie za inicyatywą bardzo ruchliwej czytelni kobiecej urządziły w teatrze wieczór uroczysty, na którym odegrano po raz pierwszy „Westalkę.“ Przedstawienie wypadło bardzo poważnie i przyniosło duży dochód, tylko publiczność bardzo licznie zgromadzona zgorszyła się, że wystawiono taką sztukę, która spotwarza „zakonnice.“ *Si non e vero e ben trovato.*

Niemały popłoch między kobietami wywołał projekt przyłączenia kursów Baranieckiego do szkoły wydziałowej. Byłby toż to skandal niebada i poprostu hańba, żeby zniesiono instytucyę, która bardzo wiele pozostawiała obecnie do życzenia pod względem zarządu, ma jednak niesłychanie doniosłe znaczenie. Jest to jedyny wyższy zakład naukowy dla kobiet naszych, to też komiczny, jeżeli nie obydny przez swoją hipokryzyę jest projekt oddania go pod dyrekcyę kierownika szkoły wydziałowej, który pod względem kwalifikacyj naukowych jest nauczycielem niższym, a pod względem zapatrywań na wykształcenie kobiet stoi na stanowisku kierownika szkoły kucharskiej. Już lepiej by było, żeby została dotychczasowa dyrekcya, choć była tylko nominalną *).

Kiedy już mowa o kobietach, wspomnę o odczycie dr. medycyny, panny Burko, „O społecznem położeniu kobiet.“ Prelegentka dowiodła jasno, że kobiety wszelkich krajów i po wszystkie czasy zajmowały stanowisko drugorzędne... powinny więc zająć obecnie pierwszorzędne. Ach, żeby te niewiasty zeszły raz z krainy teoryi na pole rzeczywistości i nie frazesami, ale czynem dowiodły, że zdolne są do pożytecznej pracy naukowej, społecznej i zawodowej— o ile prędzej rozwiązały by swoją kwestyę!

Z literackiego ruchu mieliśmy dwa konkursy *Życia*, które liczebnie przyniosły obfity plon. Sto kilkadziesiąt sonetów przeczytało i rozsądziło *jury* w sam dzień terminu. Nagrodę za nowelę i sonet otrzymał p. K. Tetmajer. To nie tak, jak u was w Warszawie, gdzie na rozstrzygnięcie konkursu np. *Kuryera Warszawskiego* trzeba czekać rok cały.

Na zakończenie wspomnę o „J'accuse,“ które jednocześnie prawie z listem Zoli rzucił społeczeństwu galicyjskiemu prof. Baudouin de Courtenay w broszurze p. t. „Fałszywa fasya moralna.“ Nie ze spokojem uczonego, ale z namiętnością pogardy dla wszelkiego kłamstwa i obłudy policzkuje autor całe społeczeństwo nasze za jego oportunizm i fałszywą moralność. Namiętność ta szlachetna wprawdzie i uczciwa, ale, jak każda, zaślepiająca, spowodowała pewną niezręczność w formie tej pracy, która osłabiła wrażenie, jakie powinna była wywrzeć. Przedstawienie jako „kunsztu i procederu specyalnie galicyjskiego“ wszelkiego rodzaju niewoli, bandlarstwa przekonaniami, szacherek politycznych, nadużycia władzy i karyerowiczowstwa, jest niesprawiedliwością, ponieważ to są ogólne rany społeczne, nie mówiąc już o militaryzmie i prostytucyi, za które Galicya, a tem mniej autonomia odpowiadać nie może.

Najnowszym wypadkiem dnia — i niestety wypadkiem bardzo smutnym — jest rozpędzenie rolniczej szkoły w Czernichowie. Od kilku lat była ona widownią gorszących zajść między ciałem nauczycielskiem i uczniami, za które niepodobna czynić odpowiedzialną młodzieży, ponieważ zakład ten nie jest kolonią karną dla „zdziczałych indywiduów“ — jak chce przedstawić dyrekcya w komunikacie, rozesłanym do wszystkich pism krajowych. Młodzież ta rekrutuje się z różnych warstw społecznych i stanowi żywioł różnorodny, ale podatny do kierowania, o ile ciągle trzyma dłoń umiejętna i uczciwa. Żn takiej ręki w Czernichowie nie było, dowodzą ciągłe awantury. Nienawiść wśród uczniów do kierowników szkoły wzrosła tak dalece, że kiedy na dyrektora napadł jego osobisty nieprzyjaciel (nienależący do uczniów), czynna ta zniewaga „nie wywołała wśród nich oburzenia, ani chęci zmycia tej plamy z zakładu.“

Przytoczony w cudzysłowie ustęp jest jedyną zbrodnią, jaką podaje komisya, która łącznie z żandarmami przeprowadzała śledztwo w imieniu wydziału krajowego, jako kuratora szkoły czernichowskiej. Za to przestępstwo, tj. za bierne stanowisko przy wyrównywaniu rachunków między dyrektorem a korepetytorem jego dzieci, który uczniem zakładu nigdy nie był, wypędzono wszystkich uczniów i szkołę na razie zamknięto. Dziesięciu wydalono ze wszystkich zakładów Austryi, dziesięciu ze szkół rolniczych w Galicyi, czterdziestu dwóch zaś relegowano, pozostawiając ponowne ich przyjęcie do rozstrzygnięcia Wydziałowi krajowemu. Na upiększenie tej skandalicznej sprawy, która nawet w poważnych kołach zachowawczych najżywsze wywołała oburzenie, poleciła komisya Wydziałowi krajowemu „wzięcie pod uwagę ograniczenia w przyjmowaniu do szkoły *poddanych zagranicznych.*“ Coraz lepiej u nas idzie!

Ponieważ ostatni mój list uwieńczyło przymierze słowiańskie, dzisiejszy na odmianę zakończę gorącą zachętą do sojuszu z Niemcami, którego korzyści w nie zmiernie kuszącem świetle przedstawia dr. St. Smolka, prof. uniw. Jagiellońskiego w broszurze p. t. „Polacy, Czesi i Niemcy.“ Z broszury tej dowiadujemy się, że dobrze jest trzymać z Czechami, ale lepiej jeszcze z Niemcami, zwłaszcza że mamy dla nich obowiązki wdzięczności za kulturę, którą głównie od nich otrzymaliśmy. Jako przyśpiew przewija się kilka razy w tej pracy okrzyk: Jeszcze Austrya nie zginęła, póki my żyjemy. Autentyczne. Kto nie wierzy — niech przeczyta.

Caeca.

Z NIEMIEC.

Berlin, 9 marca.

Protest przeciw fałszowaniu historyi w szkołach. — Niemoralny wpływ literatury dziecinnej. — Ulepszona szkoła — Epidemia udawania chorób.

Apostołowie pokoju powszechnego i wszechbraterstwa ludów, obrzydziwszy sobie misyę proroków wołających na puszczy, misyę zresztą śmieszną w chwili, kiedy w Niemczech wzbierają wody militaryzmu i bojowniczego uniesienia, postanowili spróbować szczęścia na innem polu i zwrócić się do dziatek, aby w ich niewinnych i wrażliwych serduszkach już za młodu wzbudzić wstręt do Molocha wojny. „Towarzystwo pokoju“ w tym celu obrało sobie za pole do propagandy Badenię, kraj przezwany „wzorowem państwem liberalnem.“ Petycyę ideologów roztrząsano w sejmie wśród wrzawy zachowawców, którzy w podobnym zamachu na patryotyczne uczucia podrastającej młodzieży upatrują czyn zdradziecki. Żywioły demokratyczne przegłosowały jednak zachowawców, wskazując na nieracyonalność systemu, który pomiędzy godziną 9 a 10 zrana głosi „nie zabijaj,“ a w kilkadziesiąt minut później wynosi pod niebiosa militaryzm i legalizowane zabójstwo. Stowarzyszenie pokoju zwróciło uwagę na to, iż w podręcznikach szkolnych wzmiance o Francuzach towarzyszy zwykle epitet „wróg dziedziczny“ (Erbfeind). Podręczniki historyczne są upstrzone zwrotami w rodzaju: „wrzaski Francuzów,“ „odwieczna chciwość Galijczyków“ itp. Łatwo się domyśleć, w jakim rynsztunku stylowym wyprowadzają nas Polaków na arenę historyczną. Jeśli światły dziejopis niemiecki odsądza Słowian od wszelkich zasług na polu kultury, można stąd wyprowadzić wniosek o roli powierzonej Polakom przez pismaka. Towarzystwo wystąpiło również przeciw temu, iż ważnym wypadkom z punktu widzenia ogólno-ludzkiego udziela się w podręcznikach mniej miejsca, niż drugorzędnym bitwom. Petycyę, opatrzoną dwoma tysiącami podpisów, polecono łaskawej pamięci komisyi rządowej, która prawdopodobnie cały akt humanitarności garstki idealistów utopi w Lecie archiwim rządowego. Charakterystycznem jest dla stanowiska centrum, iż jego przedstawiciel, zabierając głos w sejmie badeńskim, zganił kobiety, które dały swój podpis „Nie znam żadnych obywatelek— wołał z ironią ubożuchny duchem ultramontanin—znam tylko niewiasty i dziewczęta. Zresztą *mulier tacet in ecclesia!*“ Petycyę wniesiono do sejmu badeńskiego w nadziei, iż prąd antiszowinistyczny będzie się szerzył z południa ku północy, aż dotrze do Prus. Zdaje mi się atoli, iż gdyby nawet rząd pruski w wieku XXI zgodził się na podobne ustępstwa, to jeszcze zachodzi wątpliwość, jakie stanowisko zajęłyby klasy wpływowe Niemiec w obronie swych najdroższych uczuć. Że rząd jest bezsilny wobec reakcyi często pozakulisowej, świadczy los reformy gimnazyalnej w duchu nowoczesnym, którą popiera cesarz oraz ministrowie Bosse i Miquel. Społeczeństwo nie może umywać rąk i składać całej winy na sterników państwowych. Na dowód tego można przytoczyć fakt, jakie książki sami rodzice dają do rąk swym dzieciom w Niemczech. Radykalny, pełen zapału i artystycznego polotu pedagog Wolgast, poświęcił kilka lat na to, aby przestudyować całą literaturę dziecięcą i doszedł do fatalnego wniosku, iż z bardzo nielicznymi wyjątkami nie warta ona funta kłaków. Krytyka uderzył również brutalny, butny i zawadyacki ton, którym tchną te piśmidła, przeznaczone jakby nie dla dzieci, lecz dla feldwoblów pruskich. Wstydem przejmuje go sama myśl, w jaki sposób przekształca się i paczy w tych książeczkach najbardziej wiarogodne, zbadane, wprost nawet oczywiste wypadki historyczne. Zamiast rozwijać w dziecku zdrowy patryotyzm, sieje w niem zabójcze ziarna szowinizmu, samolubstwa narodowego, a nawet nienawiści ku obcym. Część, poświęcona naukom przyrodniczym, ginie w bezmiarze historyczno patryotycznym. Autor ostatecznie sądzi, iż należy dzieciom polecać, o ile można, tylko utwory klasyków, jeśli się nie chce wykierować ich na kretynów i pyszałków. Tak stoi etyka w niemieckiej szkole i pedagogii.

Jeden z członków „Stowarzyszenia dla kultury etycznej,“ dr. Göring, wychodząc z tej samej zasady, iż szkoła niemiecka pozostaje w tyle za wymaganiami czasu, bronic w kolcie militaryzmu i antykwarskiego klasycyzmu, stworzył plan ulepszonej na modłę bardziej humanitarną i nowoczesną. W godzinach popołudniowych zaznajamia z historyą kultury. Malec więc przeżywa okres pasterstwa, rolnictwa, rzemiosła, handlu itd., wznosi się wreszcie ku nauce i sztuce. Za pomocą wycieczek i demonstracyj poznaje pierwiastki cywilizacyi, państwa i przemysłu. Nauki przyrodnicze są przedmiotem gruntownych studyów na drodze doświadczalnej. Całokształt zaś poznania wieńczy nauka etyki i religii, dla której wystar-

*) Przy sposobności prostujemy omyłkę drukarską w artykule o kursach Baranieckiego z nr. 10 *Prawdy*: zakład ten wykształcił nie 25,000, ale 2,500 uczenic.

cza, zdaniem Göringa, przejąć się kilkoma rozdziałami z Ewangelii i szlachetną postacią Chrystusa. Gdy uczeń został objuczony balastem etycznym, wtedy szkoła wtajemnicza go w zasady polityki, czyli mówiąc inaczej, oblewa go zimną wodą najmniej idealnej rzeczywistości.

A teraz od dzieci przejdźmy do ludzi dorosłych. Pewnego przyczynku do kwestyi etycznej w Niemczech może dostarczyć nam ożywiona rozprawa, wrząca obecnie w prasie lekarskiej nad tem, jak demaskować pacyentów, udających chorobę. Okazuje się, iż wśród — że się tak wyrazimy — zainteresowanych sfer grasuje epidemia „symulacyi." Robotnicy pozbawieni zajęcia, tudzież osoby zamożne, zabezpieczone w towarzystwach od nieszczęśliwych wypadków, wymyślają rozmaite dolegliwości dla zyskania sobie renty lub odnośnej kwoty asekuracyjnej. Lekarze sporządzili już dzisiaj szczegółową statystykę tych faktów, przerażającą zaiste swymi rozmiarami. Na obronę robotników można powiedzieć przynajmniej, iż zmusza ich do tego nędza i ciężkie warunki zarobkowania; w zimie np., gdy zastój przemysłowy wyrzuca tysiące nieboraków na bruk wielkomiejski, epidemia wzrasta, a lekarze rozpaczają, nie wiedząc, jakich imać się sposobów, aby pogodzić swe obowiązki zawodowe z głosem sumienia. Praktyka wytworzyła w tym celu metody badania dla każdej dziedziny medycznej. Najbardziej zaciętą walkę staczają chorzy z okulistami, których pono najłatwiej wyprowadzić w pole. Istnieje nadto całe litania chorób poplacających swą pozornością i zwodniczością. Dr. Blasias stwierdził oprócz tego, iż postępki tego rodzaju szerzą się w postaci zarazy; gdy pewna choroba nadaje się do tumanienia lekarza, odrazu wyrastają pacyenci, jak grzyby po deszczu bez liku, zwłaszcza iż próby podejścia doktora na zasadzie istniejącego prawodawstwa uchodzą bezkarnie. Największą szkodę wyrządzają ci symulaci, co na mocy swej dolegliwości żądają renty dożywotniej. Zdarzało się, iż osoby pobierające podobną pensyę jako niezdolne do pracy wskutek nieszczęśliwego wypadku, otrzymały pierwszą nagrodę na wyścigach kołowych lub konkursach gimnastycznych. Pomimo te wszelkie oznaki każą się spodziewać, iż wspomniana epidemia wkrótce minie. Prawodawstwo społeczne nie zapuściło w Niemczech jeszcze należytych korzeni, teorya jego dopiero się rodzi, a poczucie godności, wzrastające w sferach pracujących równolegle z ich udziałem w życiu społecznem, prawdopodobnie wypleni sromotną praktykę symulacyi, wywoływaną przez nędzę i zmienne warunki pracy. Pod tym ostatnim względem powinna wkrótce nastąpić poprawa, gdyż przed tygodniem istniejące w Niemczech biura pracy połączyły się w jedną organizacyę, mającą na celu regulować popyt i podaż siły roboczej na całym obszarze Niemiec. Miasta jedno za drugiem zaprowadzają u siebie biura komunalne, tak iż za kilka lat wytworzy się na wielką skalę instytucya społeczna, jakiej nie posiada żadne państwo europejskie.

H. F.

CHWILA BIEŻĄCA.



Zdawać sobie sprawę z rzeczywistego znaczenia wypadków chwili bieżącej, w których sami bierzemy czynny lub bierny udział, jest rzeczą przewyższającą zwykłą miarę naszych sił umysłowych. Ażeby ocenić należycie, w całej rozciągłości, jakiekolwiek szczegółowe zjawisko społeczne, a nawet pewien pojedynczy wypadek, potrzebaby być wszechwiednym i zupełnie obojętnym, albowiem nasze uczucia, wstręty i upodobania podpowiadają nam nasze sądy, które muszą być wskutek tego mniej lub więcej stronne, a więc i fałszywe. Prawda ma jedno oblicze, jedną tylko stronę. Tymczasem każdy ją po swojemu pojmuje. Każdy posiada swoją prawdę, czyli właściwie nie posiada jej zgoła.

Życie ludzkie zarówno osobiste, jak i społeczne można uważać za proces asymilacyi, polegający na szeregu usiłowań do zestosunkowania warunków wewnętrznych z zewnętrznymi. Dlatego, będąc sami działaczami, zmuszonymi dążyć do zaprowadzenia stałego stosunku, a przynajmniej dążąc do tego tylko, bez widocznego rezultatu, ażeby stosunek ten był stałym i trwałym, nie jesteśmy w stanie zrozumieć, że usiłowania nasze do urządzenia życia w pewien sposób są drobną pracą, której wyniki okazać się mogą dopiero w oddalonej przyszłości, że działalność nasza obecna jest sama przez się wypadkową usiłowań licznych przeszłych pokoleń, które przygotowały dane warunki, umożliwiające naszą własną działalność. To znaczy, iż nasza działalność, chociaż dla nas samych ważna sama przez się, jest w gruncie rzeczy tylko momentem procesu trwającego całe wieki, jednem zaledwie ogniwem w nieskończonym łańcuchu zjawisk, czemś *względnem*.

Łatwo to będzie zrozumieć, jeżeli uprzytomnimy sobie prawdę, że, myśląc o jakimkolwiek rezultacie, wyobrażamy go sobie jako pewną niepodzielną całość, wówczas kiedy on jest zawsze wielkością złożoną z algebraicznej sumy działania czynników szczegółowych, to jest z wielu rezultatów zsumowanych w pewną całość, przedstawiającą się nam całością póty, póki analiza nie odkryje w nim składowych części, dążących do dalszego zestosunkowania. A że niema tak prostej na pozór całości, którąby nie była złożona z części, stanowiących znów całości, złożone z części itd., wszelkie przeto działanie jednych rzeczy na drugie, tj. całości na całości, zachodzić muszą przy warunku różniczkowania i całkowania wpływów części, składających pewną całość, na części, składających inną całość, pociągających za sobą zmiany w stosunku pomiędzy rzeczami, które to zmiany przybierają w oczach naszych i dzięki naszym praktycznym interesom charakter niepodzielnego rezultatu, którego pożądamy lub którego sobie nie życzymy, jako pewnej całości.

Tak się ma sprawa, rozważana ze stanowiska oderwanego od praktycznych warunków życia. Inaczej wygląda ona w oczach naszych ze stanowiska utylitarnego, wydając się nam rzeczą *bezwzględnej wartości*, to też uważamy działalność naszą, jako coś godnego uwagi samo przez się, jako coś w sobie skończonego i posiadającego własną swoją wartość.

Człowiek, jako istota ograniczona przestrzenią i czasem, jako istota, żyjąca dla siebie, dba i dbać powinien o samego siebie przedewszystkiem, niezależnie od względów na to, co było przed jego istnieniem i na to, co jeszcze będzie, kiedy istnieć przestanie, na to, co go poprzedziło i co po nim dopiero nastąpi. A nawet przy najszczerszej chęci liczenia się z tem wszystkiem nie jest on w stanie sprostać temu żądaniu, ponieważ nie może ani znać przeszłości, ani przewidzieć przyszłości w stopniu, w jakimby potrzebował znać pierwszą i przewidywać ostatnią, ażeby się mógł ściśle stosować do jednej i do drugiej.

Jakkolwiekbądź życie jest ciągłym bodźcem, zmuszającym człowieka do czynów, do pracy, która mu umożliwia dążenia do urządzenia życia mniej więcej w pożądany sposób, raczej w sposób, który mu daje powód oczekiwać pożądanych skutków jego usiłowań i zabiegów.

Nieskończony łańcuch połączonych lub sprzecznych z sobą zbiorowych prac ludzkich odkrywa przed nami obraz celów, do których dąży wciąż ludzkość, a zarazem i środków, jakich dla osiągnięcia tych celów używa; przyczem zmienna w czasie postać rzeczy ludzkich przekonywa nas, że cele nasze w miarę ich osiągania i urzeczywistniania stają się samo środkami do nowych już, innych celów, które stać się muszą z czasem kiedyś środkami do znów innych późniejszych celów. Każdy nasz cel jest wielkością złożoną z wielu innych drugorzędnych; stosuje się to samo i do środków, wiodących do celu.

Prowadzi to nas do przekonania, że i sama terminologia nasza jest także rzeczą względną, że nie ma w rzeczywistości ani środków, ani celów, które dzięki naszemu krótkowidztwu sobie tworzymy, jest zaś tylko ustawiczny ruch, usiłowanie przystosowania do nas zewnętrzności i zastosowania się nas samych do niej, będące właściwym celem naszym samo przez się, o ile nie ukrywa się po za nim coś innego, czego wyobrazić sobie nie możemy. Wobec tego oszukiwani pozorami i chętnie sami siebie oszukując, tworzymy sobie teoryę dowolnych celów i odpowiadających im środków, jako zależnych od naszego widzi-mi-się i stosujemy się w czynach naszych do tego urojonego porządku rzeczy.

Pomimo to tworzymy sobie cele, poszukujemy i próbujemy różnych, prowadzących ku nim, środków. Stanowi to o tyle treść naszego życia, że cele nasze uważamy za najzupełniej objektywne, a środki za racyonalne. A gdyby pozbawić ludzkość ciężkiej i bolesnej rozkoszy dążenia do pewnych swoich celów i próbowania odpowiednich im środków, życie nasze stałoby się ciężarem nad nasze siły, straciłoby bowiem wszelkie rozumne dla nas znaczenie, wszelką treść własną, jaką w niem dziś upatrujemy; stałoby się czemś dla nas najzupełniej obcem i obojętnem. W procesie życia możemy brać tylko czynny, własny nasz udział, mniejsza o to, że jest on najzupełniej oznaczony; bez naszego w niem uczestnictwa, bez czynnej w niem własnej naszej roli, przestałoby ono być dla nas życiem, stawszy się jakiemś najzupełniej niezrozumiałem i obojętnem widowiskiem, dziwnem, mechanicznem tylko zjawiskiem, niemającem żadnego celu, nawet estetycznego, bo i ten ostatni występuje tylko w związku z naszemi upodobaniami i wstrętami.

Szczęście ludzkie polega nie na czemś nieokreślonem, nie na urzeczywistnieniu jakiejś nieuchwytnej i niedającej się w żaden sposób wyrazić jasno chimery, nie na rojeniach o nieurzeczywistnionej utopii, ale na ciągłem czynieniu usiłowań, na pokonywaniu stopniowem licznych trudności, na poszukiwaniu dróg, prowadzących ku temu, co się nam wydaje lepszem od istniejącego, na innem uporządkowaniu istniejących warunków zewnętrznych, na usuwaniu przeszkód, stojących ku temu na przeszkodzie, na wyszukiwaniu środków do naszych bliższych i dalszych celów w pewnym jednym lub w wielu kierunkach, przy zaniechaniu, zapomnieniu lub wreszcie nieświadomości o wielu innych jeszcze możliwych, oraz wiedzy o samej możliwości istnienia takich kierunków. Stare przysłowie nazywa ten stan *mądrością po szkodzie*, która jest jedynie możliwą dla człowieka mądrością, płynącą z zawodów własnego doświadczenia. Stan taki, w którym w pocie czoła zdobywamy sobie chwile spokoju, ażeby go zaraz utracić, zaprzątnąwszy myśl przyszłością, jest warunkiem szczęścia. Dążenie do celu jest osiąganiem celu, jest już przeto jego cząstką, chociaż wydaje się nam tylko środkiem, prowadzącym do czegoś bardziej oddalonego, odmiennego od użytych środków.

Te oto drobne pojedyncze usiłowania jednostek, ta mrówcza praca, prowadząca do

celów, do których dąży człowiek w nadziei ich osiągnięcia, i to środki, do których uciekając się zapełniamy sobie życie, stanowią najistotniejszą treść tego życia, nie co innego, jakbyśmy to byli skłonni mniemać. Gdybyśmy posiedli tajemnicę życia, straciłoby ono dla nas cały swój urok i interes, stałoby się ciężarem nad siły. Zadaniem naszem jest poszukiwać tylko sposobów, prowadzących do jego zrozumienia i nic więcej, ażeby według niego urządzać samo życie.

Dążymy do tego, co uważamy za słuszne i dobre, pókiśmy go nie posiedli; później staje się ono już tylko czemś zwykłem i powszedniem, więc poszukujemy znów czegoś lepszego, w przypuszczeniu, iż jest coś najlepszego od wszystkiego, co znamy i czego pragniemy tymczasowo, zapominając o tem, że nic podobnego zgoła nie istnieje i że nawet to, cośmy zdobyli, łatwo możemy stracić, wskutek ciągle zmiennych warunków życia, do których trzeba się wciąż inaczej stosować, aniżeli przedtem. Uczy nas tego „mądrość po szkodzie," uczy wiekowe doświadczenie i wciąż zapominana mądrość narodów, która trudno się zdobywa w walce i łatwo zapomina w powodzeniu; to ostatnie wogóle jest warunkiem pożądanym, ale faktycznie niepomyślnym. Co się łatwo zdobywa, to tem łatwiej się traci, bo małą ma cenę w naszych oczach. Tylko ciągła, ciężka, tak zwana niewdzięczna praca jest właściwie wdzięczną, dając trwałe rezultaty, bo się ich lepiej pilnuje i więcej dba o nie. Łatwe szczęście jest właściwie ciężkiem nieszczęściem dla tego, kto je posiędzie. Prędko przychodzi, ale też prędzej jeszcze przemija. Niemniej przeto szczęście jest naszym stałym, świadomym celem. Po za niem nie widzimy w życiu innego celu. A jeżeli on istnieje, niezależnie od naszej o nim świadomości, to jest najzupełniej dla nas niezrozumiały i tajemniczy.

Dążenie tedy do szczęścia, poszukiwanie dróg, prowadzących do zdobycia go, jest nie środkiem tylko, jakbyśmy byli skłonni myśleć, ale celem naszym samym w sobie, jako coś, co wypełnia nasze życie i daje mu treść ciągłą, chociaż zmienną i niewyczerpaną, coraz rozmaitszą i coraz bogatszą, dzięki bolesnemu wprawdzie doświadczeniu własnemu i obcej krytyce, tem dotkliwszej, im zgodniejszej z naszem doświadczeniem.

Dlatego to w drobnych, a codziennych przemianach, o ile możliwemi są one wogóle do zaprowadzenia w istniejącym już faktycznie porządku życia, a nie w stanowczem i ostatecznem osiągnięciu pewnego jakiegoś niezmiennego raz na zawsze celu, gdyż takiego niema i być nie może wogóle, gdyż wreszcie nie daje się on nawet sformułować mniej więcej wyraźnie, zawiera się najpoważniejsze zadanie ludzkiego życia. Samo ono zmusza nas dążyć do celów, których osiągnięcie jest może rzeczą niemożliwą, a jednak pożądaną i poszukiwaną nieustannie.

Praktyczna umiejętność życia, oparta na rozumowej podstawie, polegającej na znajomości rzeczywistości, nie zaś urojeń, sprowadza się do tworzenia nie mglistych, aczkolwiek ułudnych tęczowych fantazyj, nie ścisłych i stanowczych obrazów o bezwzględnej dodatniej treści i stałych a niezmiennych formach, ale do wynajdywania najbardziej praktycznych środków, a niekiedy nawet i podśrodków, przeważnie ujemnego charakteru, prowadzących do drobnych przemian, do usuwania małych bodaj przeszkód i wprowadzania nieznacznych ulepszeń. Te drobne kroki, te małe czyny są najbardziej pożądane w każdej obecnej chwili, a jeżeli nie same te kroki, które nie zawsze postawić można odrazu, to przynajmniej usiłowania postawienia ich. Usiłowania te, jakkolwiek nieznaczne, ale liczne, sumują się przecież i będąc pojedyńczo ułamkami lub jednościami, stanowią w całości olbrzymią potęgę, która ostatecznie usuwa przeszkody nieznacznie, ale stanowczo, jak siła żywiołowa, działająca bez świadomości powodu swego działania i jego celu.

Bohaterskie czyny jednostek nie są w stanie dać podobnego rezultatu. Jeżeli mają one znaczenie, to tylko jako wzór do naśladowania dla innych; jako wzór, który działa zniewalająco na nasze uczucia. Jest to coś w rodzaju „owczego pędu," ale nie zmienia to bynajmniej istoty rzeczy. W każdem zbiorowem ciele wszelki ruch zaczyna się w pewnym jakimś punkcie. Takie to punkty w zbiorowych ciałach ludzkich nazywają się bohaterami, często dobroczynnymi geniuszami. Jednakże taki bohater lub geniusz nie byłby ani jednym, ani drugim, gdyby wraz z nim nie wchodziło w ruch całe społeczeństwo, byłby wówczas tylko szaleńcem lub, co się często zdarza, zbrodniarzem, bo byłby sam jeden przeciwko wszystkim.

Najwyższa umiejętność radzenia sobie w każdej bieżącej chwili polega nie na stawianiu sobie niedoścignionych ideałów wszelkiej doskonałości, która wogóle nie istnieje, ale na robieniu nieznacznych, jedynie możliwych, przemian w istniejącym porządku rzeczy, na możliwem ulżeniu spotykanych w nim trudności, słowem na zaprowadzeniu innych kombinacyj w tym samym porządku, na innem ugrupowaniu części tej złożonej całości, jaką jest istniejąca. W podobnych przemianach jest ten cel, któregośmy zwykli poszukiwać gdzieś bardzo daleko od nas. Jest to, jakeśmy powiedzieli, najwyższa umiejętność, ale jest to zarazem i największa trudność umysłowa i moralna, bo prawie niepodobieństwem jest dla nas mieć pojęcie o czemś lepszem, zadawalając się jednocześnie czemś gorszem, które budzi w nas wstręt moralny i z którem stosunek zadaje gwałt najszlachetniejszym stronom ludzkiej istoty.

Nie znaczy to wcale, ażebyśmy mieli nie myśleć zgoła o przyszłości, gdyż niepodobna przewidzieć, o ile jest ona w pewnym względzie daleką lub bliską. Zależy ona od naszej roztropności, której formułą być powinno „spieszyć powoli," nie robiąc gwałtownych ruchów, które rezultatu nie dają, ale bardzo męczą i co gorsza zniechęcają. Wstępujemy na schody, prowadzące nas na wyższe stopnie uspołecznienia i uobyczajenia stopień po stopniu. Innej drogi tu niema wcale.

Działa to w nadzwyczaj zniechęcający nas sposób, o ilebyśmy radzi tę drogę przebyć jak najprędzej. Ten powolny ruch postępowy wprawia w rozpacz tych wszystkich, którzy tę drogę już przebyli i oglądają się po za siebie, widząc całe tłumy, które nawet nie myślą jeszcze o potrzebie poruszenia się w kierunku ku lepszemu i sprawiedliwszemu porządkowi życia.

Ale taka jest, niestety, przyroda człowieka, zmuszonego staczać najcięższe zapasy właśnie z tą swoją własną przyrodą: ponieważ on to sam jest własnym swoim największym wrogiem, nie podejrzywając zgoła tego. Cele jego są przecież własnym jego celem, a przeszkodą, stojącą ku nim na drodze, jest nikt inny, tylko on sam. Tylko nie wie on o tem. Gdyby wiedział!.. Każda bieżąca chwila byłaby inną, niż jest rzeczywiście. Człowiek sam jest jej twórcą*).

Feliks Bogacki.

*) Zamieszczając ten wywód autora, którego wysoko cenimy, nie możemy bez zastrzeżeń zgodzić się na jego wnioski. To bowiem urojenie, ta chimera, nigdy nieurzeczywistniona lub w dalekie czasy odsunięta idea, której B. odmawia wartości, jest, jeśli nie zawsze, to często źródłem największych zadowoleń i największych sił, dzięki którym jedynie drobne cele chwili bieżącej mogą być osiągnięte i rozplątane. Przy świeczkach i kagankach można dojrzeć i zrobić wiele, ale one nigdy nie zastąpią słońca. Bez światła wielkiej, choćby niedoścignionej idei działalność człowieka byłaby ruchami śpiącego, który przewraca się na drugi bok, gdy na jednym zbyt długo leżał. *Red.*

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Bankructwo parlamentarne.

Jest to niewątpliwą prawdą, że parlamentaryzm obecny zdradza wszystkie słabości i wady instytucyj zgrzybiałych, które odegrawszy swoją wielką rolę w dziejach, chylą się do grobu, przypominając ludzkości ciągle, że winna pomyśleć o innych, lepszych. Ustawiczne matactwa, gwałcenie i fałszowanie przy wyborach opinii społeczeństwa, wyzyskiwanie jego sił i środków w celach samolubnych, wiarołomne czyny przedstawicieli narodu — wszystko to okrywa coraz grubszym cieniem owo ciała zbiorowe, które być miały i były twórcami i opiekunami praw, a stały się giełdami bezprawia. Nie znaczy to jednak, że parlamentaryzm jest rodzajem szopy, w której podwaliny zgniły, ściany i belki spróchniały, a dach się podziurawił. Bynajmniej. Ludzkość wytworzyła bardzo mało instytucyj z istoty swej złych lub też rozpadających się pod wpływem samego czasu; większa ich część była w zasadzie dobrą, ale nawet najlepsze nie wytrzymują długo niszczącego działania egoizmów. Społeczeństwo nie jest — jak twierdził Hobbes — Lewiatanem, jego życie nie jest nieprzerwaną walką „wszystkich z wszystkimi," ale zaprzeczyć trudno, że najpotężniejszą i niezmordowanie czynną siłą w ustroju społecznym jest samolubstwo jednostek. Ono stanowi najmocniejszy motor ruchu spraw, ono nigdy nie zasypia, nie wygasa, nie wyczerpuje się, ono też jak robactwo drąży, jak woda podmywa, jak powietrze kruszy wszelką budowę, która zabezpiecza przeciw niemu dobro ogółu. Ono również zniszczyło parlamentaryzm. Rzeczywiście, kogo nie oślepia blask i nie ogłusza szum wyrazów, kto opiera się hypnotyzmowi czczonych niegdyś tytułów historycznych i niezależnie od nich rozważa objawy życia, ten musi przyznać, że parlamentaryzm ma takie same jaskinie rozboju, jak najdziksza samowola. Dla jego ofiar nie jest to żadną pociechą, że je poświęcono *lege artis*; czy wyznawców pewnej religii tępi i wygania Neron lub Karol IX, czy też skazuje ich na zagładę sejm z kilkuset członków złożony — to dla nich wszystko jedno, a nawet w drugim wypadku o tyle gorzej, że pastwi się nad nimi nie jakiś wściekły osobnik, ale przedstawiciele narodu, którzy dopełnią okrucieństwa z większą ścisłością i ozdobią je pozorami prawa.

Przekonali się o tem dowodnie Polacy pruscy. Nikt nie mógłby w dzisiejszych czasach postąpić z nimi w sposób bardziej prześladowczy, niż to czynią organy konstytucyjne, które dla ludności, uciemiężonej i poniewieranej za to tylko, że taką chce być, jaką ją stworzyła natura i historya, usiłują złożyć warunki grożące bezwzględną zagładą. Nie też dziwnego, że w głowie jednego ze zrozpaczonych polityków poznańskich zrodziła się myśl wezwania posłów polskich, ażeby otrzymawszy mandaty, siedzieli w domu, nie jeździli do Berlina i nie uczestniczyli w obradach parlamentarnych. Wypowiedział ją publicznie p. A. Karpiński w liście otwartym, który w prasie poznańskiej i warszawskiej mocno zamącił spokojną wodę. Nie jest to myśl nowa i wielokrotnie już była wypróbowywana, a zawsze ze złym skutkiem. Czesi, Irlandczycy itd. usuwali się z parlamentów, których więk-

szości gwałciły ich prawa, i zawsze po pewnym czasie wracali, przekonawszy się, że sama ich obecność oraz bezsilne protesty były jednakże pewnem kiełznem dla nieprzyjaciół, którzy uwolnieni nawet od tych słabych wędzideł, tratowali ich bez miłosierdzia i skrupułu. W najbardziej wytrzebionych ze szlachetności sumieniach przedstawicieli narodu pozostają nieraz odrobiny wstydu, które im nie pozwalają dopuszczać się tych niecnot wobec swych ofiar, które popełniliby bez nich. Nadto żadne ciało prawodawcze nie jest jednolite, lecz składa się z rozmaitych żywiołów, posiadających rozmaite stopnie wrażliwości moralnej, która czasem odczuwa silniejszy głos skargi i umożliwia skrzywdzonym bodaj cząstkowy ratunek. Ponieważ pierwiastki większości często oddzielają się, wchodzą w nowe kombinacye i zmieniają swe stosunki, przeto nawet słaba, ale rozumna grupa parlamentarna może wyzyskać taki rozstrój dla swego dobra. Wreszcie pamiętajmy, że polityka jest handlem zamiennym, że kilkanaście lub kilkadziesiąt głosów, to „walor“ na giełdzie sejmowej, który w razie potrzeby nabiera wysokiej ceny i daje się bardzo zyskownie sprzedać. Wszystkich tych korzyści pozbawia się dobrowolnie koło polityczne, przechodząc w stan „bezrobocia“ parlamentarnego.

Czy p. Karpiński tego nie uznaje? Trudno odpowiedzieć, gdyż nie wiadomo, jaki wzgląd podyktował mu jego odezwę: bezskuteczność walki z większością parlamentarną niemiecką, czy też nieudolność polityków polskich. Są to zaś dwa fakty całkiem różne i do odmiennych prowadzą wniosków. Pierwszy nie ulega zaprzeczeniu, ale jak wykazują próby dokonane gdzieindziej, wszelkie secesye sejmowe są środkiem działającym bardzo krótko, a w dłuższem trwaniu prowadzą do smutnych ustępstw. Co innego fakt drugi, również niewątpliwy. Branka poselska w Poznańskiem, rekrutująca przedstawicieli narodu stale ze szczupłego zastępu notablów ziemiańskich, musiała prędzej czy później powołać do trudnych zadań ludzi bez zdolności i energii, którzy umieją „nosić“ godności, ale nie umieją na nie zasługiwać w ciężkiej walce. Pomimo złudzeń i życzeń, natura nie chce wyrabiać możnowładców poznańskich z najlepszego materyału człowieczego i często dla tego produktu używa bardzo lichych. Gdy więc ci „wybrani a niepowołani“ znaleźli się na stanowisku trudnem, niebezpiecznem, mocno ostrzeliwanem, wymagającem wielkiego talentu i męztwa, starali się uratować je równie dziecinną jak mizerną taktyką politycznego lizusostwa. Na grad kul, spadających z dział oblężniczych w ich redutę, odpowiadali nabojami z karmelków, mimiką kłamanych umizgów, zaprzysięganiem dozgonnej miłości i najwierniejszej przyjaźni względem nieprzyjaciół, a jednocześnie swemu ludowi dawali znaki mruganiem i półsłówkami, ażeby czekał spokojnie zdumiewających rezultatów tego mądrego postępowania. Ale ta nędzna komedya nie mogła trwać długo. Jej aktorzy nie zyskali oklasku z żadnej strony. Lizusi wytarzawszy się w piasku i unurzawszy w błocie, nie wyżebrali najmniejszej łaski, chociaż uroczyście obwieszczali, że „głosowanie za funduszem na marynarkę niemiecką jest obowiązkiem patryotyzmu Polaków,“ chociaż — jak zaznacza p. Karpiński — w swych przemówieniach sejmowych unikali wyrażeń: „my Polacy“ i „naród polski,“ lecz nazywali siebie i swoich ziomków „przyjaciołmi politycznymi.“ Wszystko to nic nie pomogło. Czy z taką zdobyczą można się było popisywać na „sejmikach relacyjnych,“ których od lat pięciu nie zwoływano?

Ale jeżeli okazało się, że dotychczasowi przedstawiciele ludności polskiej w parlamencie niemieckim tylko narażali jej cześć i nie dorośli do trudnego zadania, to czyż dlatego nie należy posyłać tam żadnych? Prawdopodobnie że lepiej byłoby, gdyby „bankruci“ siedzieli w domu i przeznaczyli 30,000 swych dyet na cele użyteczności publicznej, zamiast poszywać wyszarzany i dziurawy łachman swej polityki żebraczemi łatami; ale czemuż wybierać koniecznie tych „bankrutów“? Czyż oni posiadają przywilej na odgrywanie ról politycznych? Czyż nie prostszem i pewniejszem wyjściem byłoby powołanie do parlamentu ludzi innych, godniejszych tego zaszczytu? Aż przykro stawiać podobne pytania. Każdy dojrzały naród ogłosiłby upadłość starej firmy politycznej i zlikwidowawszy ją, powierzyłby jej interesy nowej; poznańczycy wolą zamknąć instytucyę, niż zmienić jej zarząd, pozbawiają go tylko prawa działania i radzą jego członkom prząść kądziel w domu. Szczególna polityka.

A zatem z którejkolwiek strony rozważać będziemy pomysł p. Karpińskiego, nie wytrzymuje on krytyki. Zamiast sygnału odwrotnego dla inwalidów i nieudolnych wodzów parlamentarnych, daleko właściwszem byłoby uświadomienie wyborcom, że do dalszej walki winni powołać zapaśników nowych, dzielniejszych.

Poseł Prawdy.



Nowy przekład francuski „Pana Tadeusza.“



Paryż, 1 marca.

„Bulletin polonais,“ ogłosił w styczniowym n-rze przekład 1-j księgi „Pana Tadeusza.“ Istniały dotąd dwa tłomaczenia: Ostrowskiego i de Noir Isle'a (hr. A. Przezdzieckiego), oba bardzo mierne. Dopiero trzecie teraz rozpoczęte zasługuje w zupełności na swą nawę. Dokonał go Wacław Gasztowtt, a co miesiąc będzie ukazywać się nowa księga w dalszych zeszytach „Biuletynu.“

Chociaż idzie dotąd o jedną tylko pieśń, sądzę że nie od rzeczy będzie poświęcić jej kilka uwag, zwłaszcza że mogłyby wpłynąć na zwiększenie gładkości i udatności przekładu dalszych.

Sam Wacław Gasztowtt jest wybitną osobistością w tutejszej kolonii polskiej. Syn emigranta, urodzony we Francyi, skończył tu filozofię i od dłuższego czasu jest profesorem języków klasycznych w jednem z kolegiów paryskich. Ani praca zawodowa, ani spełnianie obowiązków urzędnika francuskiego nie przytłumiły w nim uczuć polskich. Duża ilość dzieci emigranckich zatraciła — ze smutkiem trzeba to zaznaczyć — znajomość języka ojczystego; Wacław Gasztowtt posiadł go własną pracą nietylko w zakresie potocznym, ale przyswoił sobie w wysokim stopniu język literacki oraz rozległą znajomość piśmiennictwa polskiego.

Budzące się wcześnie skłonności literackie zużytkował on w kierunku bardzo zaszczytnym. Już przed więcej niż dwudziestu laty zaczął tłomaczyć na język francuski utwory Juliusza Słowackiego. Nakładem księgarni Luksemburgskiej Władysława Mickiewicza wydany został najpierw jego przekład tych utworów prozą. W literaturze francuskiej panuje do dziś przedziwny zwyczaj tłomaczenia poezyj w ten sposób — „owijanie promyków księżycowych słomą“ — mawiał ongi Henryk Heine.

Gasztowtt spostrzegł dość szybko, że próby wierszowane byłyby o wiele wdzięczniejszemi i poczytniejszemi. Jakoż w r. 1881 ogłosił tłomaczenie wierszem „Grobu Agamemnona,“ „W Szwajcaryi“ i „Ojca zadżumionych.“ Wobec olbrzymich trudności tem cenniejszemi okażą się liczne miejsca, oddające bardzo udatnie pierwowzór.

Juliusz Słowacki ma w nim wielkiego czciciela. Ażeby i wśród swoich towarzyszów i rodaków, urodzonych na obczyźnie, wzbudzić hołd dla genialnego twórcy, wygłosił Wacław Gasztowtt w trzydziestą rocznicę jego zgonu obszerny odczyt. Zręcznie i z uczuciem nakreślone tu są dzieje żywota i działalności poety, niemasz w nich patosu, ani przesady, lecz za to prawdziwy szacunek i zrozumienie.

Praca ta wyszła razem z przytoczonymi przekładami.

W ostatnich latach dał on jeszcze tłomaczenia „Balladyny“ i „Lilli Wenedy,“ szkoda jednak, że prozą. Szczególnie „Lillę Wenedę“ można było oddać bez trudności. Gasztowtt włada wierszem bardzo udatnie, tem łatwiej więc mógł pokonać biały. Nie znam wszystkich jego przekładów pomniejszych poezyi Słowackiego; czytałem jednak „Testament“ i sonety do Warszawy — wcale piękne.

Tłomaczenia owe mają wartość nietylko literacką, ale i obywatelską. Wśród czytelników francuskich duży ich zastęp stanowią dzieci emigrantów, którym ojcowie zapomnieli wszczepić dobrą znajomość mowy rodzinnej. Przed dwoma laty staraniem Gasztowtta i jego przyjaciół dano przedstawienie „Balladyny“ po francusku w „Teatrze Poetów.“ Krytyka francuska, niemająca wogóle najmniejszego zmysłu dla dramatów wielkich lub głębszych, nie okazała się i tu inną, ale przeważna większość publiczności była „francusko polską“ i stąd zapoznanie się jej ze znakomitym utworem teatru polskiego jest dostatecznym tryumfem wieczoru.

Nietylko część utworów Słowackiego została obleczona przez Gasztowtta w szatę francuską. Tłomaczył on jeszcze „Konrada Wallenroda“ i „Treny“ — ostatnie szczęśliwiej. Jako jeden z głównych kierowników „Bulletin polonais,“ umieścił tam wiele rozpraw literackich i sprawozdań. Pisuje też po polsku, jeden z pierwszych zapoznał piśmiennictwo nasze z utworami przyjaciela swego, poety czeskiego, Vrchlickiego. W zeszłym roku, wierny zasadzie znajomienia Francuzów z literaturą polską, wygłosił w dużej sali Towarzystwa geograficznego w Paryżu wobec licznej publiczności odczyt o Henryku Sienkiewiczu.

Ma on więc swoje wielkie zasługi.

We wstępie do przekładu pierwszej pieśni „Pana Tadeusza“ tłomacz określiwszy pokrótce przebieg liryzmu poety, zaczynającego od opiewania miłości ku „Laurze litewskiej,“ a wznoszącego się coraz wyżej, zaznaczywszy rolę Adama Mickiewicza, jako „odnowiciela dramatu fantastycznego,“ scharakteryzowawszy „Grażynę“ i „Wallenroda,“ gdzie „spokój epopei przerywają wybuchy niecierpliwości romantycznej, poloty liryczne i byronowskie,“ tłomacz przechodzi do korony dzieł: „Pana Tadeusza.“

„Tu Mickiewicz przybiera ton Homera; odnajduje naturalność i prostotę pierwotną czasów bohaterskich: jego wiersz, starożytny i współczesny zarazem, dotykający prozy a uszlachetniony magicznym rytmem i rymem, nie ma równego sobie w piśmiennictwach współczesnych. Ani utwory opisowe Vossa, ani „Herman i Dorota“ Goethego, ani „Jocelyn“ Lamartine'a, ani nawet „Pernette“ Laprade'a, mniej znana, a dla nas tem ciekawsza, że czuć w niej miejscami wpływ naszego poematu narodowego — Laprade znał go

przez Gaszyńskiego — nie zawierają tyle, co „Pan Tadeusz“ Mickiewicza naturalności, prawdy — niemających nic wspólnego z naturalizmem współczesnym.“

Wiersz „Pana Tadeusza“ Gasztowtt oddaje aleksandrynem. Myśl szczęśliwa, chociaż zmniejszenie ilości zgłosek o jedną utrudniło zadanie tłomacza.

Mimo to możemy powiedzieć, że przekład jest wogóle dobry, miejscami wyśmienity. Szczególnie gdzie rzecz roztacza się z powagą, majestatycznie, Gasztowtt chwyta nastrój, odzwierciedla go niemal. Doskonale są przetłomaczone ustępy, zawierające opis pobytu Tadeusza w pokoju, romans z Telimeną, stan Litwy — z wyjątkiem nie dość silnie oddanego miejsca o Napoleonie; dobrze cały obiad, czyli dwie trzecie księgi; przechadzka Tadeusza i Wojskiego, opowieść o Robaku.

Ale chcę podnieść i usterki. Opisy przyrody w tym poemacie są perłami w przecudnym naszyjniku literatury polskiej, otóż ten, którym tak świetnieje pierwsza księga: zachód słońca, oddany jest słabo. Prawie nic nie zostało z przepychu tych kilkunastu wierszy. Las, zlewający się w ogromny gmach z pożarem na dachu, przedstawiony tu tak:

Las zdaje się świątynią niezmierną i mroczną.
Której wierzch płonący rzuca daleko swe blaski.

Dalej zaś:

Słońce zniża się, piecze: czasem coś się zjawia
Jak języczek ognia wychodzący z okna
Potem wszystko gaśnie. Wtedy sierpy — i t. d.

Bez porównania lepiej oddanym jest krajobraz, poprzedzający przyjazd Tadeusza.

Wiem bardzo dobrze, z jakiemi trudnościami musi walczyć poeta-tłomacz, więc nie kładę nacisku na dosłowność, chociaż ona wogóle jest zawsze wielce pożądaną, a bywa czasem konieczną, w miejscach charakterystycznych. Jak wojownik nie powinien posuwać się w kraju nieprzyjacielskim, nie zabrawszy spotkanych po drodze twierdz, bo mu z nich załoga może wpaść na tyły, tak tłomacz winien te miejsca posiąść, bo inaczej będą mącić całość i psuć wrażenie.

Otóż tak ma się rzecz i z wierszami „Pana Tadeusza,“ gdzie błyszczy humor. Należy je zachować w przekładzie, choćby nad dwoma, trzema słowami dużo głowy potrzeba było nałamać. Gasztowtt doskonale oddał opowieść Hreczechy, a nic nie szkodzi, że dla zachowania odcieni i rymu ze słowem „Lach“ nazwisko „Hreczecha“ przemienił na „Hreczech.“ Natomiast pyszne miejsce, w którem domysły Tadeusza porównywa poeta z żabkami skaczącemi na łące, a potem ten dowcip przystraja poezyą, włączając lilię — zatarto. Przekład mówi:

Nie, młodzieniec miejsce to napełnia.
Rój myśli jego na niem buja, skacze
Jak na łące skacze *owad* po burzy.

Jaki owad? Czemu nie żabka?

Podobnież czyni ujmę całości miejsce o charakterze gotyckim zamku. Poeta wyraźnie oświadcza, że sędzia oponował przeciw nadawaniu mu pomienionego charakteru. Przebija się stąd lekki jak złoto słońca uśmiech z powodu naiwności ziemiańskiej. Według tłomaczenia Gasztowtta mógłby ktoś myśleć, że Mickiewicz wymagał, aby gmachy gotyckie wznosili Gotowie, gdyż czytamy tu:

Był on podług hrabiego struktury gotyckiej
Jakkolwiek wzniósł go murarz
Z Wilna, który od Gotów nie brał nigdy lekcyi.

Czemu znikł sędzia?

Pragnę by należało także częstszego zachowywania zdań głównych, które nieraz tłomacz zamienia na podrzędne. Odbiera to dziełu właśnie prostotę, zaznaczoną przez niego samego. „Ja piękność twą w całej ozdobie widzę,“ w przekładzie ma na początku „to też.“

Słowa „w tem, właśnie,“ są w utworze bardzo ważne. Podobne one do owych kamieni milowych, które nową przestrzeń zaczynają. Tymczasem nie zawsze są zachowane, a brak ów wielce razi naprzykład w świetnie przetłomaczonym pobycie Tadeusza w pokoju. Wbiega Zosia:

W tem spostrzegła młodzieńca...

Przekład mówi:

Widzi wtedy obcego.

Jako tako można było osiągnąć podobny skutek, rozdzielając tu ustęp na dwa.

Dotychczasowy charakter niniejszego artykułu broni mię chyba od zarzutu zbytniej surowości. Chciałbym jedynie, aby przekład w wielu miejscach nienaganny, posiadł większą jeszcze wartość i aby nowa suknia arcydzieła poezyi polskiej była bez plamek, co mówię, nawet bez prószyn.

W. [illegible]

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Równie jak na scenie wypadkiem sezonu było wystawienie „Goplany,“ koncert kompozytorski jej twórcy powinien był stać się „wypadkiem“ na estradzie. Stał się też nim ze względu na uroczysty charakter i owacye, zgotowane Żeleńskiemu. Wykonawcza wszakże strona zgotowała słuchaczom zawód. Nie mamy tu na myśli solistek, pań: Wąsowskiej-Badowskiej i Szlezygierówny; nazwiska ich wystarczającą są rękojmią, nikt też nie wątpił, że zarówno w jednej, jak w drugiej Żeleński znajdzie doskonałe tłomaczki swoich utworów. Chodzi nam o orkiestrę. Żeleński pieśniarz i kompozytor fortepianowy znany nam jest nie od dzisiaj — z symfonistą, twórcą dzieł operowych, zaczynamy się dopiero zaznajamiać, a początek tego stosunku tak się odrazu zarysował, że chudził pragnienie węzłów coraz ściślejszych i najtrwalszych. Nic zatem dziwnego, że z programu koncertu kompozytorskiego największe zajęcie budziły utwory orkiestrowe i chóralne, wszystkie po raz pierwszy u nas wykonywane. I tu właśnie wykonawcy zgotowali zawód, choć winę nie im przypisać należy. Jeżeli chóry sprawiały się zadawalająco i zdołały uwydatnić umiejętne prowadzenie głosów i kunsztowną harmonizacyę w „Nocy majowej,“ kompozycyi owianej marzycielskiem tchnieniem, a w „Chórze paziów“ (z „Konrada Wallenroda“) znakomite połączenie ożywionego tematu z pomysłami kontrapunktowymi, to orkiestra nie podołała podjętemu zadaniu. Lecz, powtarzamy, nie jej to wina; młoda, świeżo nowemi siłami dopełniona, niedostatecznie jeszcze zgrana, nie znalazła kierownika, któryby ją do tego ważnego popisu przygotował. Dopiero Żeleński, przyjechawszy na koncert, przez kilka dni „uczył“ ją dzieł swoich, zamiast dopełniać tylko „wyuczone“ niektóremi wskazówkami. A wszakże czasu było dosyć, skoro o tym koncercie jubileuszowym mówiło się przeszło dwa miesiące.

Mimo usterki wykonania, utwory nacechowane piętnem talentu, przemówiły do słuchaczów — a najwymowniej z nich uwertura do nowej opery „Janek,“ którą odegrano na żądanie dwukrotnie. Podobnie jak krótki wstęp do „Goplany,“ jest zapowiedzią nastroju całości, tak i uwertura do „Janka“ stanowi niejako streszczenie tego, co nam ma później dać opera. Takie przynajmniej otrzymaliśmy wrażenie, wsłuchując się w rzewne melodye ludu tatrzańskiego, w jego wesołe wybuchy, odmalowano w skocznej rytmice tanecznej, w jego smutek i rozpacz oddaną świetnie umiejętną instrumentacyą motywów. „Muzyka baletowa“ — utwór również u nas nieznany dotąd — ze śpiewnem solo skrzypcowem, zaznacza się energiczną rytmiką, oryginalnymi tematami i, jak wszystkie zresztą utwory Żeleńskiego, wytworną, barwną instrumentacyą.

Pani Mira Heller, nadwerężywszy śliczny z natury mezzo-sopran przekształceniem go na sopran, opuściwszy, jeśli nie na zawsze, to przynajmniej na czas pewien scenę, powróciła do naturalnej skali głosu i została śpiewaczką koncertową. Ze sceny przeniosła artystka na estradę zbyt wyraźną może mimikę, zbytnią żywość ruchów, niefortunny zaś eksperyment z bogatym materyałem wokalnym pozostawił ślady najwyraźniejsze w nieco chwiejnej intonacyi i w *medium*, tak że zdarza się, iż głos śpiewaczki urywa się w tej średniej skali, ginie, lecz brak ten wytrawna artystka umie zawsze pokryć efektem umiejętnej dykcyi. Tyle wad dawnych — wynagradzają je wszakże najzupełniej dawne zalety i nowe zdobycze. Wiemy, że dźwięczny, rozległy mezzosopran pani Heller poparty jest ognistym temperamentem, wysokim artyzmem i dużą inteligencyą, — więc skoro śpiewaczka złączyła z tymi przymiotami właściwości szkoły francuskiej: wyraźne wymawianie, poczucie stylu i wytworne frazowanie, może dziś stanąć w szeregu najlepszych pieśniarek; osobiście wszakże pragnąć zawsze będziemy powrotu pani Heller na scenę, uważając operę za najwłaściwsze pole popisu dla jej bogatej natury artystycznej.

Towarzyszem śpiewaczki w wycieczce koncertowej jest p. Aleksander Wierzbiłowicz, wiolonczelista, a wobec wykonawcy, który sztukę swoją doprowadził do takiego szczytu artyzmu, że sprawozdawca znajduje się w prawdziwym kłopocie, jakiemi słowami chwalić tę grę, która czaruje wszystkiemi możliwemi zaletami, a żadnym nie razi brakiem, wszelkie wyrazy wydają się banalnymi, każde określenie oklepanem. P. Wierzbiłowicz już nie gra, lecz śpiewa, mówi, płacze, marzy, błaga, przy pomocy swego instrumentu. Idąc śladami wszystkich artystów tutejszych i ta para artystyczna, nietylko na własnym popisywała się koncercie, lecz brała też udział w koncertach dobroczynnych.

Wypełnić cały wieczór grą własną i utworami jednego kompozytora, wykonać siedemnaście numerów objętych programem i nietylko słuchaczów nie znużyć, ale zniewalić ich jeszcze do żądania naddatków — może tylko fortepianista takiej odrębnej organizacyi, jak Józef Śliwiński, gdy sięgnie do skarbnicy dzieł takiego wszechstronnego geniuszu, jak Chopin. Wszystkie niepospolite zalety i wszystkie wielkie wady — bo w tym artyście niema nic małostkowego — uwydatniły się na tym Chopinowskim wieczorze (Tow. muz. d. 2 b. m.) i złożyły się na całość najpodniosłejszych wrażeń. Jeżeli w „Fantazyi“ (*f* mol) nie zawsze dopisywała p. Ś. technika, a tu i owdzie w pasażach lub skokach zabrzmiał ton fałszywy, jeżeli w preludyach zatarł nieco rysunek melodyi, a mazurkowi zbyt szybkie może nadał tempo, to znów „Etiudy“ (*e* i *ges* dur), *Impromptu* (*fis* dur), „Nokturn“ (*des* dur), „Walc“ (*as* dur), „Sonata“ (*b* mol)— zwłaszcza dwie pierwsze części—a nadewszystko wielki „Polonez“ (*as* dur) były natchnionem wykonaniem dzieł nieśmiertelnego geniuszu. Jest w grze Śliwińskiego rozmach taki potężny, w tonie jego barwność tak wielka, w uderzeniu słodycz i powiewność taka przejrzysta, w samem pojęciu odtwarzanego dzieła takie uduchowienie, że z pomiędzy współczo-

snych fortepianistów, przyznajemy szczerze, żaden dotąd nie dał nam wrażenia tak doskonałego.

Zeszłotygodniowy wieczór Towarzystwa muzycznego (d. 9 b. m.) zapełnił p. Alfred Grünfeld, „pianista dworu austryackiego i pruskiego.“ Wymieniliśmy umyślnie te tytuły, bo są one trafną charakteryzacyą artysty. Pianista to w całem znaczeniu „dworski“ — a więc przedewszystkiem wytworny, w miarę lekki, pełen słodyczy, rozmarzający. Szerokością pojęcia nie przejmie, powagą nie poruszy, namiętnością nie wstrząśnie do głębi — Grünfeld, to sybaryta gry fortepianowej — słodko, przy perlistych dźwiękach, płynących z pod jego palców, marzyć o zmroku. Niepotrzebnie zatem przeczuła Beethovena, którego powinienby wykreślić ze swego programu; brak mu też szerokości polotu do wykonywania większych utworów Schumanna, a zupełnie już nie posiada poczucia rytmiki właściwej mazurkom i polonezom Chopina. Niemniej jednak ślicznego „Krakowiaka“ (*fis* dur) Noskowskiego odczuł o wiele lepiej. Mistrzem natomiast jest Grünfeld, gdy gra Schuberta, Brahmsa, Griega i kompozycye własne, z których wszakże „Rapsodya węgierska“ jest banalnym zlepkiem najpospolitszych efektów fortepianowych.

Br. N.

SPRAWY EKONOMICZNE

PATRONATY*).

I.

Świat przemysłowy przy stosownej okazyi lubi chwalić się instytucyami patronalnemi. Literatura, która istnieje w tym względzie, jest nieproporcyonalnie obfita w stosunku do liczby i znaczenia tych urządzeń, z pozoru filantropijnych, w gruncie rzeczy zaś spełniających zadanie złoconej obroży. Każdy zakład, który u siebie zorganizował podobne wzory, nie zaniedbuje na każdej wystawie umieścić swoich modelów — na paryskiej w r. 1889 zebrałem całe stosy broszur i broszurek, sławiących patronaty. Już takie samochwalstwo świadczy, jak rzadkiemi są urządzenia tego rodzaju: instytucya, która stała się w życiu częstą, pociąga za sobą opisy i oceny systematyczne, ale nie żąda kadzideł; tylko to, co jest wyjątkowem, dobija się sławy w ten sposób. Zakłady patronalne stanowią urzeczywistnienie rojeń Carlyle'a i innych utopistów gorącego serca, marzących o tem, ażeby przemysłowcy zamienili się na „hetmanów społecznych“ i jak legendowy pan feodalny opieką swoją niby ojciec otaczał włościan, szukających schronienia na jego ziemiach pod osłoną zamku, tak samo oni mieli być patronami i pasterzami duchowymi rzeszy, która znalazła zarobek w ich zakładach. Hasła entuzyastyczne padły na jałową glebę, bo powołały do życia bardzo nieliczne objawy patronatu, przyczem tylko nieznaczna mniejszość powstała pod wpływem uczuć humanitarnych, reszta zaś, a może nawet wszystkie, opierają się na pewnym interesie.

Wielce ciekawem jest rozmieszczenie tego rodzaju instytucyj, i dość zatrzymać się nad tem pytaniem, ażeby zrozumieć, jak dalece wyrosły one z potrzeb i o ile czynią zadość pewnym wymaganiom. Nadaremnie poszukiwalibyśmy ich w ogniskach handlu i przemysłu. Lękają się one stanowczo gwaru wielkomiejskiego, co da się objaśnić wielu względami. Do ośrodków życia społecznego cisną się tłumy poszukujących zarobku, konkurencya wzajemna i nadmiar współzawodników przykuwają pracującego do zakładu, tak iż wszelkie inne spoidła są zbyteczne; warunki bytu wielkomiejskiego przedstawiają tyle rozmaitości, iż rozrywki, dostarczane przez instytucye patronalne, nie zbyt rozczulają najemników, wreszcie i odległości niszczą wszelkie oddziaływanie wzajemne. Inaczej rzeczy stoją na pustkowiu przemysłowem, znajdującem się w pewnem oddaleniu od ognisk handlu. Tam raczej daje odczuwać się brak rąk roboczych i fabryka musi dbać o to, ażeby personel nie porzucał pracy w zakładzie i nie szukał zajęcia gdzieindziej. Trzeba przymocować go pewnemi wyjątkowemi dogodnościami — lepszą płacą, dostarczaniem wiktuałów w taniej cenie, urządzeniem garkuchni itd. Ustronie daje mało rozrywek, i znowu występuje konieczność stworzenia zabaw i wogóle urozmaicenia życia. I właśnie patronaty ukazują się w zakładach, znajdujących się w pewnej odległości od miast. Są one tam objawem, podyktowanym przez dobrze zrozumiany interes chlebodawców. Niekiedy do interesu dołącza się jeszcze uczucie humanitarne. Wśród pewnych kół wyrobiło się pojęcie o przemysłowcach, jako ludziach twardych, nieużytych, chciwych na każdy grosz. Wyobrażenie takie jest niewątpliwie prawdziwem, gdy badamy całą warstwę i poszukujemy dążności, które są jej właściwe, nie uwzględniamy zaś żywych, pojedynczych osób. Lecz jeśli przechodzimy do jednostek, obraz ulega zmianie, mogą tam być serca wrażliwe i humanitarne. Niejeden jest gotów do pewnych poświęceń, tylko że czyn ten nie wykracza po za pewne szranki, ciąży nad nim specyalna atmosfera idejowa. Gdy więc na czele zakładu, zmuszonego oprzeć istnienie swoje na instytucyach patronalnych i szukać w nich środka dla ustatecznienia personelu pracującego, znajdzie się właśnie taki umysł, wówczas owe instytucye przybierają charakter dość daleko posuniętej dbałości o interes oficyalistów. Zresztą dbałość ta w niczem nie nadwyręża interesu pryncypała, raczej sprzyja mu, tak samo jak dobrze utrzymany inwentarz na folwarku w gruncie rzeczy zawsze wychodzi na dobre właścicielowi. Musimy jednak dodać, iż w wielu przypadkach pracujący występują przeciw patronatom, rzadko bowiem który z pośród założycieli może powstrzymać się od nałożenia na te instytucye piętna swoich upodobań i poglądów: pobożny pryncypał pragnąłby zamienić oficyalistów na gromadę wzorowych duszyczek, inny pozwala im czytywać tylko te pisma i książki, które uzyskały jego potwierdzenie, jeszcze inny wymaga, ażeby kłaniano mu się bardzo nisko i wciąż pamiętano o dobrodziejstwach, które w rzeczy samej przynoszą i jemu niemałą korzyść. W ubiegłym wieku pielęgnowano ideał tak zwanego „światłego absolutyzmu,“ jego epigonami w dobie dzisiejszej są filantropijni chlebodawcy, zakładający patronaty. To też w fabrykach, które wyznają zasadę opieki ojcowskiej, powoli dobiera się odpowiedni personel, potulny, cichy, pracowity. I pod względem częstości swojej, i co do temperamentu pracujących wzory patronalne stanowią wyjątek.

Kilka tych uwag nasunął nam artykuł pani A. S. Levetus, poświęcony opisowi wzorowo urządzonych fabryk w Anglii. W kraju tym liczbę zakładów przemysłowych trzeba mierzyć tysiącami i może nawet dziesiątkami tysięcy. I wśród takiej obfitości retort dla wyrobu patronatów znalazło się zaledwie trzy zakłady, które stanęły na poziomie takim, iż rzeczywiście przedstawiają coś wyjątkowego, oraz kilka innych, zasługujących na pobieżniejszą wzmiankę. Raczej dziwić się należy nie temu, co autor podał jako wzór do naśladowania, ile temu, że mógł on wogóle pisać artykuł o takich rzadkich wysiłkach, w których zrozumiany interes współdziałał z wrażliwem sercem i głębszem uczuciem.

Przyjrzyjmy się jednemu z takich wzorowych zakładów, położonemu w Bourneville-Hall, w odległości kilku mil angielskich od Birminghamu. Fabryka tamtejsza, znana w świecie handlowym pod firmą braci Cadbury, dała początek całemu miasteczku i zatrudnia około 2,000 osób. Produkuje ona nietylko kakao i czekoladę, ale również wszelkie sprzęty, niezbędne dla ekspedycyi towaru, a więc skrzynki, pudełka, etykiety, opakowania. Warsztaty są utrzymywane w wyjątkowej czystości; wogóle, ład i ochędostwo odróżniają fabrykę braci Cadbury—a instytucye patronalne, rozważane co do swego rodowodu, zostały im podyktowane wprost przez te szczególne zamiłowanie systematyczności i harmonii. Praca trwa na dzień godzin $7^1/_2$, rozpoczyna się na dziesięć minut przed dziewiątą i ciągnie się do pierwszej z przerwą na odpoczynek; godzina, od pierwszej do drugiej, jest przeznaczona na obiad; wreszcie o w pół do szóstej warsztaty są zamknięte. W sobotę wszelkie zajęcie w fabryce kończy się o pierwszej, lecz w porze sezonowej rozpoczyna się o w pół do siódmej. Zarządzający zwrócili głównie uwagę swoją na 1,700 dziewcząt, które znalazły zarobek w ich warsztatach. Jakeśmy zaznaczyli, praca zaczyna się przed dziewiątą. Nadchodzące dziewczyny zmieniają suknie w szatni, każda z nich posiada ubiór, używany tylko podczas pracy i pozostawiany w zakładzie wieczorem; jest on co tydzień prany. Podobnież każda przywdziewa w szatni specyalne obuwie. W garderobie panuje wzorowy porządek, każde dziewczę ma własny hak i szafeczkę, znajdują się tam lustra i umywalnie z zimną i ciepłą wodą, nadto urządzenie jest takie, że podczas słoty parowanie bywa spotęgowane i mokre suknie, pozostawione w szatni, schną prędko. O jedenastej pauza, trwająca kwadrans i przeznaczona na spacer; pryncypałowie, ustanawiając taki odpoczynek, kierowali się własnym interesem, bo z doświadczenia poznali, że praca po takiej przerwie odznacza się większem napięciem. Od pierwszej do drugiej ciągnie się pora obiadowa. Jedne z pośród dziewcząt udają się do mieszkań swoich na posiłek; inne, mieszkające w zbyt znacznej odległości, użytkują, dla odgrzania śniadania, ze zbudowanych umyślnie w tym celu trzech pieców, z których każdy może pomieścić 400 porcyj. Tym, które chcą stołować się w fabryce, zakład dostarcza obiadów po cenie kosztów. Istnieje tam olbrzymia kuchnia, oraz piekarnia, w której zaprowadzono możliwe udoskonalenie. Znajdują się trzy jadalnie, jedna dla 1,600 dziewcząt, druga dla 600 mężczyzn i trzecia dla 60 dozorców — każda płeć i pozycya są starannie oddzielone. Co do warunków płacy, dziewczęta otrzymują od szylinga do dwóch wyższe wynagrodzenie na tydzień, niż w jakimkolwiek innym zakładzie, użytkującym z pracy kobiet w całej okolicy. Natomiast zniesiono wszelkie premie i gratyfikacye; bracia Cadbury z doświadczenia przekonali się, iż robotnice bardziej cenią natychmiastowe udzielanie wyższej płacy, niż odkładanie pewnej części na upominek noworoczny. Raz na rok fabryka bywa zamkniętą w ciągu pół miesiąca, ale zapobieżono możliwym stratom z tego powodu, tak iż pracujący mogą korzystać z wakacyj z zupełnym spokojem. Większość dziewcząt

*) A. S. Levetus: *Quelques fabriques modèles en Angleterre* (Revue d'economie politique, 1897).

udaje się wtedy na brzeg morza. W pobliżu fabryki założono park na przestrzeni dziesięciu akrów; o ile pozwala pogoda, dziewczęta tam śniadają, te zaś, które lubią ćwiczenia fizyczne, grają w lawn-tennis i inne gry. O godzinie jedenastej, podczas przerwy kwadransowej, panuje gwar, jak na podwórzu szkolnem. Na przypadek deszczu istnieją przykryte przestrzenie. Nadto przy zakładzie znajduje się obszerny i dobrze utrzymany ogród, w którym pracujący mogą nabywać owoce po cenie bardzo nizkiej. Założono szpital dla chorych na epidemię, i nawet ci, którzy mają w rodzinie swojej kogoś chorego, są na pewien czas zwolnieni od obecności w fabryce, wynagrodzenie zaś pobierają z kasy stowarzyszenia, w tym celu założonego, na które każdy opłaca tygodniowo niewielką składkę. Istnieje tak zwany Instytut techniczny i jednocześnie klub z salami bilardowemi i miejscami dla mityngów religijnych; przy nim są wykładane pewne przedmioty, w tej liczbie hygiena. Prócz 60 akrów ziemi, bezpośrednio otaczających fabrykę i przeznaczonych na parki, miejsca zabawy itd., jest jeszcze 140 akrów na wzniesienie dokoła fabryki osady robotniczej. Zakład miał na celu „ułatwienie pracującym kupna kawałków gruntu i zabezpieczenie ich od wyrugowania stamtąd przez rozszerzające się warsztaty.“ Grunta te są wydzierżawiane na lat 999 (tj. sprzedawane) za czynsz roczny bardzo nizki. Żaden domek nie może przejść pewnej wysokości, a to dlatego, ażeby sąsiadów nie pozbawił widoku i ich ogródków słońca; ogródki mają przestrzeni pół akra. W pośrodku tego obszaru pozostawiono siedem akrów na ogród dla dzieci. Zakład udziela pożyczek na budowlę domków.

Opuszczamy inne urządzenia pomniejszej wagi, nie dostarczające wybitnych rysów do przedstawionego obrazu. Autor, opisujący Bourneville-Hall, wyraźnie zaznacza, że zakładowi chodzi o stworzenie statecznego personelu. Większość osób, znajdujących zarobek w jego warsztatach, mieszka w Birminghamie, tj. w odległości czterech mil angielskich i musi codziennie przyjeżdżać koleją. Fabryka u zarządu kolejowego wyrobiła specyalne pociągi, niefigurujące nawet w planie jazdy i przeznaczone jedynie dla jej oficyalistów, oraz zniżkę ceny biletów — tygodniowo przejazd kosztuje tyle, co jednorazowy. Ulgi i instytucye patronalne winny zabezpieczyć fabryce stały personel pomimo takiej odległości od miejsca zamieszkania. Nie dziw, że zakład, prowadzony w podobny sposób, zawsze ma pod dostatkiem dobrych robotników. Wiele osób obojga płci oczekuje długo na wakans. Przedsiębiorcy, pomimo takich ustępstw, nie uskarżają się na zmniejszenie zysków. Jest to rzecz zrozumiała, bo co tracą na ilości czasu roboczego, odzyskują na napięciu wysiłku. Strona ta ujawnia się jeszcze silniej w *Sunlightvillage*, osadzie fabrycznej, wznoszącej się dokoła fabryki mydła i gliceryny w pobliżu Birkenheada. Założyciele przed dziesięciu laty rozpoczęli przedsiębiorstwo z funduszami bardzo ograniczonymi, pozwalającymi im na produkcyę tygodniową, nieprzewyższającą 20 tonn, obecnie wyrabiają w tym samym czasie 2,400 tonn i zatrudniają 1,800 robotników. Zyski otrzymane, pomimo wielu urządzeń, mniejszego dnia pracy, wyższego wynagrodzenia pracujących, pozwoliły na powiększanie zakładu 120 razy! Przedsiębiorcy należą do gorących czcicieli Gladstone'a, który odwiedzał dzieło ich rąk i był obecny otwarciu hali zabawy, noszącej jego imię. O ile w poprzedniej fabryce zwrócono głównie uwagę na czystość, o tyle w „mieście słonecznem“ uwzględniono stronę obywatelską. Osadą fabryczną zarządza rada, wybierana przez zatrudnionych i prowadząca interesy miasteczka w ten sam sposób, jak parlament — całego kraju. Posiada ona garkuchnię, zarządzaną wzorowo i sprzedającą dania po cenach kosztu. Założono różne kluby itd.

Tak wyglądają wzorowe zakłady fabryczne w Anglii. Są one zbyt nieliczne—kilka na dziesiątki tysięcy istniejących przedsiębiorstw! — ażeby miały posiadać znaczenie społeczne. Podobno mają one tylko jedno przeznaczenie, mianowicie dostarczać materyału na monografie dla pisarzy, ślizgających się po powierzchni objawów życia społecznego. Najwyżej mogą one posłużyć za dowód, że interes przedsiębiorcy da się pogodzić z wyższym poziomem dobrobytu pracującego, z większem wynagrodzeniem i mniejszym czasem roboczym. Są to twory egzotyczne, rozwijające się w pastkowiach przemysłowych i, o ile istotnie przybrały charakter humanitarniejszy, związane z istnieniem tej lub innej osoby.

K. R. Ż.

W DALI.

Lublin. Powstaje w mieście naraz kilka instytucyj finansowych: Bank handlowy łódzki (agentura), filia Banku handlowego warszawskiego i podobno—filia Banku wołżańsko-kamskiego i lubelskie Towarzystwo wzajemnego kredytu. Dodajmy, że istnienie już w mieście: Oddział Banku państwa i Kasa przemysłowców. Według atoli znawców stosunków, nie będzie za dużo tych instytucyj kredytowych. Szczególnie, jak zapewniają, Bank handlowy warszawski może liczyć na powodzenie, poprą go bowiem więksi przemysłowcy i fabrykanci, a obywatele ziemscy będą załatwiali przy jego pomocy sprzedaż zboża. — Zatwierdzono Towarzystwo muzyczne.

Mińsk. Towarzystwo rolnicze mińskie, jedno z najruchliwszych w państwie rosyjskiem, cieszy się stałym przyrostem członków. W r. 1889-m było ich 201, w r. 1897—567. Działalność Towarzystwa jest wielce urozmaicona: obroty handlowe (skład machin, narzędzi rolniczych i warsztaty, agentura główna Towarzystwa ubezpieczeń północnego; dostawa zboża dla intendentury; dzierżawa rzeźni miejskiej; sekcye: leśna, agronomiczna i gorzelnicza). Skład machin i narzędzi rolniczych, który rozpoczął działalność zaledwie z kilku tysiącami rubli, obecnie ma obrót, wynoszący kilkadziesiąt tysięcy i posiada dwie filie w Witebsku i Pińsku. Towarzystwo sprowadza machiny i narzędzia rolnicze wprost z fabryk, przeważnie zagranicznych, część bierze za gotówkę, część zaś przyjmuje w komis; ceny narzędzi w składzie Towarzystwa niższe są od podawanych w cennikach firm prywatnych. Przy składzie znajdują się warsztaty, których zadaniem jest nietylko naprawa, lecz i sporządzanie nowych, mniej skomplikowanych narzędzi rolniczych, tudzież różnych części składowych do tartaków, młynów i t. d. W ostatnich czasach skład rozesłał do wszystkich gmin okólnik, w którym wyraża gotowość oddawania machin i narzędzi rolniczych włościanom na kredyt za poręczeniem gmin. Również pomyślnie rozwija się przedsiębiorstwo sprzedaży bydła opasowego, otwarte przy dzierżawionej przez Towarzystwo rolnicze rzeźni miejskiej. Od r. 1892 do 1896-go zakupiono około 10,000 sztuk bydła; mięso wysyłano do Peterburga, Warszawy i Libawy. W r. 1893 Towarzystwo podjęło się dostawy mięsa i innych produktów.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. We Lwowie na dochód funduszu uniwersytetu ludowego im. Adama Mickiewicza odbędzie się staraniem „Zjednoczenia,“ towarzystwa kształcącej się młodzieży, szereg odczytów.

— Przy szpitalu dla obłąkanych w Tworkach dodany będzie osobny oddział dla kobiet (na 26 osób), kosztem 10,000 rs. Nadto w zakładzie tym urządzone będą gabinety hydro i elektro-terapeutyczne.

Szkoły. Profesorów: Azarowicza, Czausowa i Zigla na ich własne żądanie uwolniono od obowiązków sędziów sądu uniwersyteckiego.

— Ministeryum wyjaśniło, iż prywatne szkoły realne, korzystające z przywilejów na równi z rządowemi, mogą otwierać ludzie nawet bez odpowiedniego cenzusu naukowego, byleby tylko dyrektorem był wykształcony i doświadczony pedagog.

— Wszystkie szkoły rzemieślnicze miejskie w Warszawie są nadmiernie przepełnione. W niektórych klasach mieści się po 70—80 terminatorów, wbrew wymaganiom hygieny. Z tego powodu w r. b. nie przyjęto do szkół powyższych 1,200 terminatorów.

— Według zapewnień *Kuryera warsz.*, p. Malinin, delegat ministeryum skarbu, przybyły tu do zwiedzenia szkół handlowych, został inspektorem okręgowym szkół handlowych w Królestwie Polskiem.

— Rozporządzenie o odmawianiu przez katolików modlitwy przed lekcyami w języku łacińskim, wydane dla gub. północno-zachodnich, stosuje się do całego cesarstwa.

— Profesor uniwersytetu warszawskiego, Henryk Struve, pomimo otrzymanej emerytury, pozostaje nadal na katedrze profesorskiej i na urzędzie dziekana wydziału filologicznego, skutkiem wystąpienia rady uniwersyteckiej do ministeryum o utrzymanie prof. Struvego na pięciolecie bieżące.

— Ministeryum rolnictwa opracowywa projekt nowych szkół rolniczych, które będą uczyły budowania domów wiejskich, kominów, pieców oraz wyrobu materyałów budowlanych ogniotrwałych.

— Ministeryum oświaty zezwoliło na przyjmowanie do VII klasy dodatkowej szkół realnych ich uczniów i kandydatów postronnych, o ile na egzaminach z kursu 6-letniego otrzymają średnio ze wszystkich przedmiotów stopień 3, zamiast $3^1/_2$ jak to obowiązywało od 1895 r.

Odczyty. D. 20 b. m. p. Antoni Austen wygłosi odczyt „O impresyonizmie,“ w Muzeum przemysłu i rolnictwa.

— W Muzeum przemysłu i rolnictwa wygłosili wykłady popularne: pp. Znatowicz „O pozostałych częściach składowych powietrza“; p. Wróblewski — „O klimacie i porach roku.“ Obaj prelegenci ściągnęli znaczną liczbę słuchaczów.

Poczta. Ponownie poruszono sprawę zniżenia ceny marek pocztowych w korespondencyi zagranicznej.

Wystawy i zjazdy. We wrześniu r. b. odbędzie się międzynarodowy kongres prasy w Lizbonie.

Koleje i komunikacye. Od dnia 7 marca rozpoczął się regularny ruch parostatków na Wiśle pomiędzy Warszawą, Nową Aleksandryą i Sandomierzem.

— Dotychczas koszt poszukiwania zaginionych na kolei bagażów ręcznych ponosili podróżni. Nadal będzie to obowiązkiem kolei żelaznych.

Przemysł i handel. Zatwierdzono Towarzystwo kredytowe w Radomiu, po dokonaniu w ustawie kilku zmian, żądanych przez ministeryum.

— Komisya, obradująca nad zabezpieczeniem Warszawy od drożyzny węgla, zwróciła się do kopalń zagłębienia dąbrowskiego z propozycyą, aby w razie nadmiernej podwyżki ceny na rynku warszawskim, zgodziły się wysyłać pewną liczbę wagonów do rozporządzenia magistratu na sprzedaż publiczną. Ogólna ilość dowożonego w ten sposób węgla, według projektu nie może przekraczać 1,680 wagonów w ciągu całej zimy, 420 wagonów w ciągu jednego miesiąca, a 70 wagonów w ciągu jednego dnia. Magistrat nabywać ma ten węgiel po cenach płaconych przez kolej Wiedeńską, która nietylko zgodziła się dostarczać wagonów dla owego transportu, lecz nadto pośredniczyć w załatwieniu wszelkich rachunków między magistratem a kopalniami oraz przyjmować od magistratu wszystek węgiel niesprzedany. Niezależnie od układów z kopalniami, komisya porozumiała się z koleją Wiedeńską co do oddania na użytek publiczny części zapasów kolejowych w razie nadmiernej drożyzny opału w mieście. Rada zarządzająca kolei odda na ten cel do rozporządzenia magistratu w przyszłym sezonie zimowym 500,000 pudów węgla, tytułem próby. Wreszcie komisya w dalszym ciągu prowadzi układy z kolejami Nadwiślańskiemi i Petersburską,

jako też z zarządem wojskowym, w sprawie urządzenia miejskich składów węgla, z torami podjazdowymi na placu Broni i na Pradze.

— Ruch parcelacyjny w pow. nowomińskim przybiera rozmiary coraz większe. Niedawno rozparcelowano majątki: Czarną, Łękawicę, Radzyńsk, Krzywicę, Cisie, Żaków, Brzeziny, Grubowilk, Mstów i wiele innych. Obecnie znów krążą pogłoski o parcelacyi majątków: Zglechowo, Dobrzynia, Wężyczyna, Łaziskowe, Gadki, Barczący i innych. Majątki kupują wyłącznie włościanie przy pomocy Banku włościańskiego; wogóle lud w tej okolicy kupuje coraz więcej majątków.

— Pruskie ministeryum rolnictwa zabroniło przywozić z Rosyi żywych saren i jeleni, niezaopatrzonych w odpowiednie świadectwa weterynaryjne.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Wit. Szu. Wiersz Pański, złożony z samych ogólników, nie pozwala nam wyrzec nic stanowczego. Jest to próbka zbyt drobna i zbyt nikła.

Prenumeratorce (L. C.). Adres p. K.: Złota 16. „Poradnik“ kosztuje z przesyłką rekomendowaną 80 kop., za przekazem 90 kop.

Panu W. R. w Aschabadzie. Wyszło 150 zeszytów (lit. E.).

Panu Bolesławowi Leś. w Kijowie. Nie znaleźliśmy w liście adresu dla odpowiedzi listownej.

F. D. R. List i wiersz Pani przesłaliśmy autorowi.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 6 Марта 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.